№ 22. Warszawa, dnia 30 (18) Maja 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Cztery tomy **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** Brandesa zostały uzupełnione i rozesłane abonentom. Ponieważ wszakże tomu czwartego dla niektórych przedpłacicieli nam zbrakło, prosimy więc ich jeszcze o kilka tygodni cierpliwości dla nowego skompletowania. Tomy: I, II i III w osobnej sprzedaży kosztują po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2; całe dzieło, którego cenę zniżoną rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50) pozostawiamy jeszcze, po skończeniu abonamentu kosztować będzie rs. 6, z przesyłką rs. 6 k. 50. Nadmieniamy, że zniżona cena nasza jest **cztery razy mniejszą**, niż wydania niemieckiego.

EDYKT PRUSKI.

Edykt rządu pruskiego, nakazujący wysiedlić się byłym poddanym rosyjskim pochodzenia polskiego, przypomina najostrzejsze prześladowania religijne i narodowościowe dawnych czasów, a o tyle jest wstrętniejszym, że wydany został w nowych, kiedy już moralna podstawa wszczuciach ludzkich dla takich gwałtów znikła. Na Szląsku, w Prusach wschodnich i zachodnich oraz w Poznańskiem ów miecz Damoklesa, zawieszony nad 30,000 ludnością, wywołuje popłoch, rozpacz i sceny, których cywilizacya nie spodziewała się oglądać. Dość powiedzieć, że podlegają wygnaniu tacy, którzy już od 40 lat mieszkają w nowej siedzibie i przyjęli poddaństwo pruskie. Niektórzy, chociaż im jeszcze nie wypowiedziano prawa pobytu, przestraszeni losem innych, sprzedają za bezcen ziemię, handle, zakłady przemysłowe i całkiem lub częściowo zrujnowani szukają bezpieczniejszego przytułku. Jednocześnie landraci wydali rozkaz do władz niższych, ażeby te wszelkimi środkami nie dopuszczały napływu nowych przybyszów polskich z państwa rosyjskiego.

Ponieważ banicya dotyczy tysiąców i jest aktem donioslego znaczenia, uzasadnioną ciekawość budzi zachowanie się prasy i opinii rosyjskiej. Niektóre jej organy bez zastrzeżeń potępiły okrucieństwo rządu pruskiego; ale i inne, hołdujące polityce „zdrowej" i „trzeźwej," uznały fakt ten za niepożądany lub za — pouczający. Jedna z gazet pierwszej kategoryi rozumuje tak: Prusy a nawet Niemcy liczą poddanych rosyjskich stosunkowo bardzo niewielu, ale Rosya posiada niemieckich olbrzymie masy. Gdyby więc ona zastosowała u siebie ten sam środek i pozwoliła przebywać tylko podróżnym, zagroziłaby synom Germanii dotkliwie. A zarówno interes państwa rosyjskiego, jak i świeże rozporządzenia pruskie odwetu takiego wymagają. Obszerne i gęste kolonie niemieckie w Królestwie i prowincyach zachodnich, stanowiące naród w narodzie, niemal rząd w rządzie, nieoderwane od swej metropolii, niezłączone z nowem otoczeniem ani mową, ani religią, ani obyczajami, ani uczuciami, dziś tworzą wyosobnione kliny, które kiedyś pień rozłupać mogą. Prasa rosyjska wskazywała utajone w nich niebezpieczeństwo, napomykała o różnych lekach i środkach zaradczych, ale sprawa po za projekty i dobre chęci nie wyszła, zwłaszcza, że przed wzrokiem, zaślepionym nienawiścią domową, strach wkrótce znikał. Teraz właśnie pora opuścić stawidło dla fal germańskich i dać stosunkom podstawę wzajemności. Jeśli jakiś środek ochronny jest słusznym i godziwym w Rosyi; jeżeli poddanym rosyjskim nie wolno osiedlać się w Prusach, czemuż niemieckim ma być wolno rozpływać się po całej Rosyi?

Z podobnego stanowiska sądzą fakt *Rusk. Wiedomosti*, których wywody przyjmuje *Now. Wremia*. „Chociaż obecne nasze stosunki z Niemcami i Austryą—powiadają one—są nader przyjacielskie, to przecież pokojowy, jak dotąd, najazd na południowo-zachodnią Rosyę żywiołu niemieckiego, pozostającego i potem jeszcze w najściślejszym związku z Niemcami, musi niepokoić wszystkich rosyan. Trzeba przejechać wzdłuż rosyjsko-niemieckiej granicy i przyjrzeć się poczynionym tam przygotowaniom i przedsięwziętym środkom ostrożności, trzeba uprzytomnić sobie współczesne polityczne położenie Europy wogóle, a całą przeszłość niemieckiej polityki w szczególności, aby się przekonać, że wszelkie zaniedbanie z naszej strony pod tym względem może mieć dla nas najzgubniejsze następstwa w przyszłości."

Dniewnik Warszawskij nie podziela tych obaw, ale zamyka swój uspakajający artykuł charakterystyczną uwagą. „Sprawa ta wszakże — powiada on — ma w oczach naszych ważny i pouczający charakter. Nie należy ona zapewne do tych, które mogłyby naruszyć dobre stosunki pomiędzy Rosyą i Niemcami, tak pożyteczne dla obu państw; o żadnem zadośćuczynieniu, skutkiem którego ucierpiałyby masy przemieszkujących wśród nas niemieckich poddanych, nie może być obecnie i mowy. Niemniej wszakże uważamy za użyteczne zaznaczyć wyrażoną przez ministra pruskiego zasadę, iż gościnność międzynarodowa powinna mieć pewną granicę we własnych narodowych interesach państwa, i że państwo ma prawo usuwania szkodliwych żywiołów ludności, nawet całemi masami. Możemy nakoniec cieszyć się, iż nie my wytwarzamy podobny precedens, oparty zresztą na niezaprzeczonych prawach każdego niezależnego państwa, jak

to zupełnie słusznie powiedział minister pruski.“

Słowem, prasa rosyjska albo wyraźnie wskazuje potrzebę naśladowania rządu pruskiego względem niemców zamieszkujących Rosyę, albo też daje do zrozumienia, że „ów precedens“ rozwiązuje jej ręce w wypadkach, w których by uznała za pożyteczne dla siebie użyć tego samego środka.

Kto wie, czy ministrowie pruscy tym głosom uważnie się nie przysłuchują, czy w swym edykcie nie złagodzą przy wprowadzaniu go ostrych kantów i czy Germania nie ochłonie w wymiataniu „obcych“ żywiołów ze „swego“ domu.

KOŁO POLSKIE W AUSTRYI.

Wiedeń, 20 maja.

Po skończeniu sześciolecia parlamentarnego austryackiej Rady państwa, nie będzie może bez interesu dla szerszego ogółu skreślenie wizerunków przedstawicieli Galicyi, których przeważna większość tworzyła, jak wiadomo, osobny związek pod nazwą „Koła polskiego.“ Od czasu „nowej ery,“ (hr. Taaffego) przypadła temu Kołu ważna rola polityczna, ponieważ było ono w składzie stronnictw autonomicznych, tworzących większość parlamentarną, jednym z najbardziej wpływowych czynników, co częstokroć dziennikom niemiecko-opozycyjnym dawało powód utyskiwań, że „dziś polski wpływ sięga od Karpat aż do Adryatyku.“ Nie tu miejsce zbijać przesadę powyższego twierdzenia. W rzeczywistości wpływ ten tak daleko nie sięgał, gdyż lubo Koło polskie w po za kulisowych rokowaniach pomiędzy stronnictwami prawicy i jej układach z rządem musiało zawsze być pytanem, i nic ważniejszego bez niego nie uchwalono, to przecież cały przebieg wewnętrznej polityki austryackiej wykazuje dowodnie, że nie rząd ulegał większości, lecz odwrotnie.

Z faktem tym liczą się obecnie wyborcy galicyjscy, pomiędzy którymi zaczyna objawiać się dość silna reakcya przeciwko „ministeryalnemu kierunkowi.“ Główny jego przedstawiciel Grocholski z swoją przyboczną gwardyą, tworzącą większość w Kole, (na 56 ogólnej liczby członków wynosiła zawsze co najmniej 34, a składała się przeważnie z właścicieli dóbr ziemskich i duchownych katolickich). Żadnemu członkowi nie było wolno na podstawie klubowego regulaminu głosować w Izbie przeciw uchwale Koła, chociażby ona nie zgadzała się z jego przekonaniem; wolno im było wtedy tylko wstrzymać się od głosowania. W sprawach dotyczących narodowości polskiej, tracili oni nawet to prawo, i wszyscy byli obowiązani występować łącznie.

Stronnictwa nie zarysowały się wyraźnie wewnątrz Koła, chociaż konserwatywny kierunek większości znajdywał mniej więcej zawsze opozycyę ze strony garstki liberalnej, prowadzonej przez Hausnera. Odcieni politycznych było cztery: dwa konserwatywne — „podolacy“ i „stańczycy;“ dalej umiarkowani konserwatyści, czyli „stronnictwo środka,“ *vulgo* „ateńczycy,“ wreszcie liberalni. Oba pierwsze odłamy tworzyły razem większość Koła. Przewódzcą podolskich ultrakonserwatystów był p. Grocholski. Należeli do tej grupy: dr. Biliński, ksiądz Chełmecki, dr. Julian Czerkawski, Grocholski, Hoppen, Horodyński, Hulimka, Jasiński, Kielanowski, Kozłowski, hr. Krasicki, Władysław Łoziński, Roman hr. Potocki, Puzyna, baron Romaszkan, Tyszkowski, Erazm Wolański, Mikołaj Wolański, Zborowski. Jako mówca i wogóle pracownik parlamentarny pierwsze miejsce zajmuje Biliński, profesor ekonomii politycznej przy wszechnicy lwowskiej. Jest to człowiek młody i bardzo uzdolniony, chociaż niestety „karjerowicz“ w pełnem słowa znaczeniu. Zasady mienia jak ubranie. Co innego bowiem pisał w swoich dziełach, a czego innego broni w parlamencie. Czerkawski, dawniej wyznający zasady postępowe i federalistyczne, dziś jest konserwatystą i adjutantem Grocholskiego jako sekretarz Koła. Posiada on za kulisami wielki wpływ i na posiedzeniach przemawia namiętnie przeciwko wszelkim głosom za samoistniejszem występowaniem polskich posłów. Kozłowskiego, który ostatnimi czasy zyskał rozgłos z powodu sprawy kolei transwersalnej nie będziemy bliżej charakteryzowali. Władysław Łoziński, znany powieściopisarz i publicysta, nie odgrywał wybitniejszej roli, lubo należał do świateł grupy Grocholskiego. Zborowski, prezydent sądu krajowego, i Jasiński drugi sekretarz Koła, kończą szereg inteligencyi podolskiej, gdyż reszta co do swych zdolności nie wznosi się po nad najzwyklejszy poziom i pełni obowiązki statystów. Grupę *stańczykowską* stanowili: Benoe, Dzwonkowski, Klucki, Oborski, ksiądz Ruczka, Żuk Skarżowski, Jan hr. Stadnicki, Jan hr. Tarnowski, hr. Tyszkiewicz, hr. Zamoyski, dr. Zatorski, ksiądz Zapałowicz. Niegdyś dowodził nią obecny minister skarbu Dunajewski, dziś otrzymuje ona wskazówki z Krakowa, w parlamencie zaś i w Kole łączy się zupełnie z „podolakami.“ Ks. Ruczka, Skarżewski, Stadnicki i Zatorski są „mównymi“ członkami frakcyi, podczas kiedy wszyscy inni nigdy jeszcze ust nie otworzyli. Hr. Stadnicki brawurował już kilkakrotnie występując w Kole wyzywająco przeciw najpopularniejszym sprawom, jak np. przeciwko równouprawnieniu polaków na Szląsku, gdyż według niego „rządowi nie należy robić trudności.“ Uważa on się za fachowca w kwestyach technicznych, ale dotychczas prócz przytaczania fałszywych danych niczem nie zdołał zwrócić na siebie ogólniejszej uwagi. Stadnicki z Kozłowskim, Oborskim i dr. Rappaportem należą do kliki Landerbanku, która już nieraz swoimi osobistymi interesami wprowadziła Koło polskie w kłopotliwe położenie. Reszta jednostek tej rzeszy stanowi zero. Dużo uzdolnionych ludzi posiadają „ateńczycy:“ Abrahamowicz, Chamiec, ks. Jerzy Czartoryski, Czajkowski, hr. Wojciech Dzieduszycki, Jaworski, dr. Madeyski, Onyszkiewicz i dr. Starzyński. Widzimy tu dwóch koryfeuszów: pierwszy z nich Czartoryski jest mężem stanu, posiadającym uznanie w całej Austryi i przeszłość polityczną. Przekonań liberalnych, czego kilkakrotnie dał dowody; w polityce federalista i słowianofil. Szczególnie popularnym, jak Smolka, jest on u Czechów, z któremi nadto łączą go węzły rodzinne, (żona bowiem jego jest siostrą rodzoną znanego czeskiego malarza Czermaka). Nadto posiada ks.

---

2)

BEZ POWROTU.

Interes był prosty: chodziło o domek i ogród, który odziedziczyła po wuju zmarłym przed dwoma tygodniami. W domku tym Gilewicz mieszkał od lat dziesięciu; wycackał go, wypieścił jak swoją własność. Tej wiosny pomalował na szaro, okna zaś i drzwi — na biało; dach pokrył czerwoną blachą. Gdy Lipska pierwszy raz ujrzała to swoje dziedzictwo, uczuła serdeczną radość. Mało to było, ale czyste, eleganckie, jak nowe. A jednocześnie przyszło jej na myśl, że Gilewicz zechce ją może skłonić do sprzedania—oh, wolałaby sprzedać własną duszę! Przez tyle lat tęskniła do spokojnego kąta w swoim domu. Zmusić jej przecież nie zdoła, chociaż — kto wie! Gilewicz to znany szachraj, miała do niego wstręt jeszcze wówczas, gdy jako kancelista służył w biurze jej ojca. Łaszczył się zwykle do niej, jak wytresowany wyżeł, całował po rękach, nazywał panną Anną, chociaż była jeszcze maleńką, i sługi nawet Andzią ją nazywały; zdejmował jej kalosze, gdy wróciła ze spaceru i gotów był zawsze do wszelkich usług.

— Pan Jan to stworzony na lokaja — rzekła mu raz w obecności ojca. On zaśmiał się, schwycił za rączkę i pocałował gorąco.

— Oh, panie naczelniku, ta nasza panna Anna to takie rozumne, takie bystre dziecko, że, dalibóg, człek nieraz własnym uszom nie wierzy, słuchając jej gawędy.

I znowu chciał pocałować w rączkę.

— Czemu pan Jan nosa nie uciera! — zawołała, chowając ręce za plecy, zawsze... oślini! Fi! proszę mię nigdy nie całować, ja się brzydzę! ja pana nie cierpię!

— Oj, co to za aniołek! — szeptał zachwycony, spoglądając na pana naczelnika to na maleńkie arcydzieło, które umiało już wypowiedzieć tyle pięknych rzeczy.

Ojciec zauważył, że nie należy każdemu mówić w oczy, co się o nim myśli.

— Ależ panie naczelniku, cóż to szkodzi, że panienka zabawi się trochę moim kosztem. To honor dla mnie! Ja radbym...

Skrobał się przytem za uchem z głupowato chytrym uśmiechem. Czasami próbował przynosić jej pomarańcze i cukierki w ładnych pudełkach; pomimo to pozostała nazawsze gorliwą jego nieprzyjaciółką. W późniejszych latach spotykała go nieraz. Zapuścił brodę, nosił złote binokle, ubierał się w garnitury z angielskiego kortu, mówił zwolna, dobitnie; siadając, zarzucał z wdziękiem nogę na nogę i lubił rozmawiać przez ramię. Tytułowano go; „panie mecenasie,“ „szanowny radco,“ albo „łaskawy panie;“ w salonie zajmował wybitne miejsce, kobiety utrzymywały, że jest przystojny, inteligentny, że nawet jego niedbała postawa posiada niepokonany urok. Dla niej zaś, on na zawsze pozostał kancelistą z czerwonemi rękami w szerokich spodniach, w wynoszonym surducie i w perkalowej, bardzo nakrochmalonej koszuli. Zdawało jej się, że tylko trzeba, żeby wszedł jakiś „naczelnik,“ a ten poważny i poważany, cedzący słówka niedbale, zerwie się na równe nogi i wyprostowany gotów powtórzyć po dawniejszemu: „to honor dla mnie... największy honor“ itd. Tego jednak nie ujrzała już nigdy. Gilewicz dzięki pewnej kancelaryjnej wprawie, został głównym plenipotentem jednego z magnatów, prowadził przytem rozmaite interesy na swoją rękę i teraz już niepozwoliłby mówić sobie niegrzeczności bez widocznej potrzeby. Przy spotkaniu okazywał jej zwykle dawniejszą przyjaźń z przymieszką poufałości. Czuła jednak, że jej nie lubi, że dawne podrzędne stanowisko w domu jej rodziców pozostało dla niego niemiłem wspomnieniem. Z wujem jej żył w przyjaźni, któż wie, może wyłudził od starego dziwaka jaki zapis... Ej nie, to być nie może! Przed miesiącem jeszcze miała list od starego, w którym prosił o kupienie trochę nasion, dwóch noży ogrodniczych i jednej piły, a jednocześnie zawiadamiał, że „chatę“ odnowił, dał zręby i wyfutrował piece, w sadku też drzewek młodych dosadził kilkadziesiąt, a wszystko to dla niej, żeby miała własny kącik na starość. Wuj ten był niegdyś ga-

Czartoryski wielkie wykształcenie naukowe i artystyczne. Wspólnie z bratem swoim Konstantym wydawał przez lat kilka czasopismo muzyczne w języku niemieckim, i pisywał tam krytyki bardzo cenione swojego czasu przez znawców. Jako mówca należy do najlepszych, a dla swego liberalizmu używa nawet u przeciwników szacunku. Dr. Madeyski jest po Hausnerze najlepszym mówcą i zdolnym prawnikiem; Hr. Dzieduszycki zabiera także często głos w imieniu Koła, i bierze wogóle bardzo czynny udział w pracach parlamentarnych; wreszcie Abrahamowicz jako znawca stosunków krajowych nie mało się przyczynia do wyświecenia najzawilszych spraw, sprowadzając je na właściwe tory. Jaworski wywiera wielki wpływ w kole, zwłaszcza co do interesów kolejowych, a Chamiec w sprawach przemysłu i rękodzieł, chociaż musimy wyznać, że często broni zasad wstecznych (np. przy obradach nad ustawą przemysłową). Stronnictwo to rozwija się i zyskało w Galicyi wielu zwolenników. Jest ono ruchliwsze od wszystkich innych i stara się wpływać za pomocą kilku organów prasy na opinię publiczną. Zdaje się, że ono wyjdzie w zwiększonej liczbie z nowych wyborów. Przewodzi mu Czartoryski.

Do grupy liberalnej należeli: Bartoszewski, rabin Bloch, Chrzanowski, Gniewosz, ksiądz Gołda, Hausner, dr. Lewakowski, hr. Mieroszowski, dr. Rajski, Smarzewski, Spławiński, hr. Starzeński a po części i dr. Euz. Czerkawski. Hausner zanadto dobrze znany jest ogółowi polskiemu, ażebyśmy potrzebowali kreślić jego wizerunek. Jako mówca używa on sławy europejskiej. Klubowy rygor przygniata jednakże w części polot jego myśli i czynów, co nie dozwala mu rozwinąć takiej działalności, na jaką w innych warunkach mógłby się zdobyć. Koło polskie porucza mu najtrudniejsze zadanie w Izbie, zwykle zaś występuje on przy rozprawach budżetowych. Dawniej istniała mocna niezgoda pomiędzy niem a Dunajewskim. Dziś ona znikła, już w zeszłym roku bronił Hausner świetnie polityki finansowej ministra. Lewica boi się go bardzo. Mów jego cała Izba słucha bardzo uważnie, chociaż trwają po godzin kilka. Bardzo użytecznym jest p. Chrzanowski, niezmordowany w pracy. Na każdem posiedzeniu i w każdej sprawie zabiera on głos i bardzo często wnioski jego Koło przyjmuje. W Izbie z powodu nieznajomości języka niemieckiego nie przemawia nigdy. Jemu zawdzięczać należy pomyślny zwrot sprawy regulacyi rzek galicyjskich. Należy on do najwybitniejszych przeciwników słowiańskiej polityki polskiej, i wolałby ugodę z lewicą, aniżeli dalsze utrzymanie związku z stronnictwami prawicy, szczególnie zaś z niemieckimi konserwatystami i klerykałami. Do rzędu najbardziej uzdolnionych ludzi Koła należy bezsprzecznie Smarzewski, który od początku ery konstytucyjnej bierze bardzo czynny udział w życiu publicznem, posłując bez przerwy w sejmie galicyjskim i w Radzie państwa. Byłby niezawodnie został ministrem skarbu, gdyby stańczycy nie byli na korzyść Dunajewskiego zaintrygowali, wywłócząc sprawę papierni czerlańskiej, w którą Smarzewski był wmieszany. Wytoczono nawet śledztwo, a ponieważ on dawniej należał do rady zawiadowczej fabryki, więc pociągnięto i jego, a chociaż nie dowiedziono mu żadnej winy, tymczasem Dunajewski otrzymał tekę. Wybitną osobistością nietylko Koła polskiego, ale i całej prawicy jest Czerkawski. On po Hausnerze i Madejskim występuje także przy ważniejszych sprawach. Mowy jego trzeba jednakże czytać, a nie słuchać, ponieważ niema dobrego organu i zwykle mówi tak cicho, że go na galeryach nie słychać. W sejmie galicyjskim był prezesem klubu postępowego, ale tego postępu jakoś przy jego całej działalności parlamentarnej nie widać. Przed dwudziestu pięcioma laty, kiedy Austryą rządził osławiony Bach, należał Czerkawski do rzędu reakcyonistów i zaciekłych germanizatorów jako inspektor galicyjskich gimnazyów. Wówczas był powszechnie nienawidzonym przez młodzież, a kiedy w Krakowie zakazał był gimnazistom uczestniczyć w uroczystości poświęconej pamięci Mickiewicza, wyprawiono mu kocią muzykę a nawet podobno poturbowano laskami. Rząd przeniósł go potem do Styryi. Z germanizatora, z „bachhuzara" stał się gorliwym obywatelem i polakiem. Wzorem cnót i patryotyzmu był dr. Tomasz Rayski, zmarły tej wiosny. Jeszcze w latach 1846 i 1848 brał on wspólnie ze Smolką i Ziemiałkowskim bardzo czynny współudział w ówczesnem życiu publicznem. Od młodości wyznawał zasady demokratyczne i do śmierci pozostał im wiernym. Sympatyczną osobistością jest August hr. Starzeński, przyjaciel osobisty i polityczny Hausnera, z którym zawsze w Kole głosuje, występując przy każdej sposobności przeciwko wstecznictwu szlachty. Nowy poseł miasta Lwowa dr. Lewakowski umiał w krótkim stosunkowo czasie stać się solą w oku przybocznej gwardyi p. Grocholskiego, która starała się też upośledzać go przy każdej sposobności, tak dalece, że wszystkie jego wnioski regularnie odrzucano, a kiedy chciał w Izbie przemawiać, nie dozwalano mu. Szlachta podolsko-krakowska przyzwyczajona jest zresztą do szykanowania liberalnych posłów lwowskich. Poprzednika p. Lewakowskiego profesora Zacharyowicza prześladowano dopóty, dopóki nie złożył mandatu.

Jak widzimy tedy, ludzi zdolnych i użytecznych posiadała reprezentacya galicyjska niewielu. Niektórzy z nich przez cały czas ani w Kole, ani w komisyach, ani izbie nigdy ust nie otworzyli. Takich niemych posłów było 17!

Wogóle znaczna przewaga żywiołu szlacheckiego w Kole nieraz fatalnie oddziaływała na całą jego działalność. W kwestyach szczególnie ekonomicznych dawał się czuć brak znawców, i pewien jednostronny kierunek interesu większej posiadłości ziemskiej, który, nie zawsze idzie równolegle z interesami kraju. Jako rys charakterystyczny przytoczyć należy, że Koło polskie nie posiadało w swoim składzie ani jednego przedstawiciela mieszczaństwa w ściślejszem tego słowa znaczeniu, ani jednego przemysłowca i ani jednego włościanina. Wszędzie szlachta i to w egzemplarzach niemych. Tak samo potrafiłby wypełniać obowiązki parlamentarne każdy włościanin umiejący po niemiecku a z pewnością lepiej „przeciętny" majster rękodzielniczy.

Spodziewajmy się, że nowe wybory w Galicyi wypadną lepiej!

S.

---

jowym, potem rządcą, w końcu, za pomocą jej rodziców, kupił domek i ziemi kawał; mieszkał w izdebce w suterenach, chodził w siermiężnym surducie, sam pracował od rana do nocy, ale kochał ją szczerze i zawsze pamiętał, że jej rodzice dopomogli mu w ciężkiej chwili. To też od czasu jak owdowiała, przesyłał jej po kilka rubli miesięcznie, zalecając, żeby z pieniędzmi była oszczędną, gdyż marnotrawstwo do niczego nie prowadzi; chaty zaś i ogrodu pilnował szczerze, mówiąc, że jest tylko jego dożywotnią własnością. O domku tym myślała nieraz, nadzieja spadku osładzała czasami zbyt ciężkie życie. Przez cztery lata była żoną człowieka, którego szczerze kochała, chociaż nie zawsze pojmowała dostatecznie. Żyli w biedzie, karmiąc się nadzieją, każde po swojemu: on pracował, myśląc, że z czasem dopełni wiedzę zdobytą w uniwersytecie, ona — że mąż jej pracowity, uczony, poważny zostanie wkrótce sławnym doktorem, będzie dużo zarabiał, wówczas zajmą ładne mieszkanie, będą mieli schody wysłane dywanem i lokaja; w salonie zaś, obok eleganckich mebli, papugę w złoconej klatce i złote rybki. Ona bardzo lubiła rybki, do szyku przywykła u rodziców, dokąd ojciec był naczelnikiem, a potem prezesem jakiegoś towarzystwa. Wyszedłszy za biednego lekarza powtarzała wraz z nim, że zbytek to największe głupstwo, w duszy zaś rada byłaby żyć po dawniejszemu. Tymczasem mieszkali w oficynie starej kamienicy; koło drzwi ich przepływał rynsztok, na którym położono kilka nadpsutych desek w postaci mostka, i stała zielono pokostowana beczka do zbierania wody. Wchodziło się po schodach ciemnych i brudnych, na których zalatywała woń śledzi i ryb, jakby wszystkie dni w tygodniu były szabasowe. W całej tej Galilei tylko na jednych drzwiach bielił się bilet wizytowy z napisem: Józef Lipski — lekarz. Zajmowali dwa pokoje i przedpokój, przegrodzony firanką, za którą znajdował się komin i sypiała służąca, marna kucharka, która codzień przysmalała im obiad, napełniając mieszkanko dymem i czadem. To też Lipska tylko w słotę siedziała w domu, wyglądając przez okno; w jaśniejszą pogodę wybiegała do miasta na cały ranek. Z wyprawy pozostało jej dużo pięknej odzieży, którą przerabiała sobie według ostatniej mody; na zimę miała ładne aksamitne futerko, na jesień i wiosnę różne zgrabne okrywki. Gdy szła ulicą, oglądano ją od stóp do głowy, a to ją cieszyło, gdyż tylko na ulicy mogła się ludziom pokazać; nie bywała nigdzie; bardzo skromne środki nie pozwalały myśleć o zabieraniu znajomości. Za to wśród mieszkanek starej kamienicy była jedynym okazem elegancyi: rzemieślniczki, żydówki, żony biednych urzędników oglądały się na nią z zazdrością, gdy w aksamitnem futerku, w zgrabnym kapeluszu, w bucikach na wysokich obcasach przechodziła przez podwórko, krzywiąc się, jeśli przypadkiem noga pośliznęła się na szkaradnym bruku, i zakrywając nos chusteczką, gdy wymijała rynsztok. Dziwili się nawet, że taka ładna kobieta wybrała sobie chudego, cherlawego i brzydkiego męża. Lipski posiadał wszystkie te przymioty; zgarbiony, chodził dużymi krokami, a ręce trzymał zawsze w kieszeniach, gdyż nie miał rękawiczek, nie miał też ciepłego paltota: wjesieni i zimą nosił paltot z bronzowego sukna z aksamitnym kołnierzem; w chłodne dni kładł dwie koszule i kaftan włóczkowy, który matka zrobiła mu, gdy wyjeżdżał do uniwersytetu. Wracał nieraz bardzo zziębnięty, zacierał ręce i chodził spiesznie po pokoju. Kaszlał trochę, ale z tą wadą przyszedł na świat; wyglądał zawsze mizernie. Żona pamiętała, żeby miał ciepłą herbatę, którą podawała mu w ładnej filiżance ze złotymi brzegami, zbytek pozostały po jej rodzicach; gdy zasiadł w fotelu i ujawszy filiżankę w obie ręce grzał się i zapijał jednocześnie, żona wynosiła z drugiego pokoju swój szal miękki, pachnący, zarzucała mu na plecy, otulała szyję, z wyrachowaniem kokietki marudziła niby od niechcenia. On stawiał filiżankę, wpatrzony przed siebie — słuchał, mrużył oczy, albo podnosił głowę i spoglądał jej w twarz dziwnym jakimś wzrokiem. Była tam miłość szczera, ale był zarazem i żal do siebie za ten szalony egoizm, który mu dał odwagę przykuć do swego życia to ładne cacko. Wprawdzie wziął ją sierotę, nie łudził się żadną nadzieją, wierzył w jej

W. HUGO.

(Wspomnienie pośmiertne).

Noc jest żałobą ziemi po zachodzie słońca, a smutek jest nocą ludzi po śmierci geniusza.

„Zaszło słońce romantyki francuskiej — powiada Brandes w zakończeniu swego dzieła *); ale dopóki Wiktor Hugo żyje, wieczorną jej zorzę jeszcze na widnokręgu widzimy." Przed kilku dniami i ta zorza zgasła — W. Hugo pierwszy i ostatni z romantyków francuskich umarł.

Należał on do rodu olbrzymów pióra, których śmierć rozlega się hukiem zwalonego kolosu. Między wielu innymi, którzy tego olbrzyma usiłowali wymierzyć, Brandes w swej świeżo przez Spółkę Nakładową po polsku wydanej książce, skreślił go bardzo wymownie, ale zbyt roztopił w „prądach" i żywej, całkowitej, wyrazistej postaci w słowie nie odlał. Tem mniej możemy to uczynić my w pobieżnym szkicu, zwłaszcza, gdy mamy zdjąć pośmiertną maskę z umysłu tak bogatego w siły i... przemiany. Bo przez 83 lata swego życia W. Hugo rodził się i umierał wielokrotnie: był monarchistą i republikaninem, katolikiem i bezwyznaniowcem, konserwatystą i radykałem. Nie należy mu z tych przekształceń robić zarzutu i nie żądajmy od jednostki większej konsekwencyi, niż od narodu. A ten naród od Napoleona I do trzeciej Rzeczypospolitej ileż przechodził zmian! Najgenialniejszy umysł w łonie społeczeństwa tak podlega prawom i wypadkom jego życia, jak dziecko w łonie matki. Czy podobna, ażeby ten, który przetrwał szereg gwałtownych burz, którego kolebka stała w epoce najwyższej potęgi Bonapartego a trumna w czasie rządów Grevego, pozostał jednakim?

Mimo to zachował on pewną konsekwencyę, a rozliczne twarze jego umysłu spływają się w jedną. Jest to twarz czciciela i apostoła sprawiedliwości, prawdy, swobody i wszelkich uczuć szlachetnych. Muza romantyków lubiła występować z rozczochraną głową, nieraz pijana, hulaszcza i rozpustna, nie wstydziła się zrzucać szat świątecznych i ukazywać swej nagości. W. Hugo, chociaż romantyk, pozostał zawsze uroczystym, dumnym—jak orzeł unosił się po nad błotami życia, po których pływają rybitwy i kaczki. W jednym ze swych wierszy powiada, że Bóg kazał mu być prorokiem. Istotnie za proroka się uważał. Z tego przeświadczenia płynął jego wielokrotnie ośmieszany a tem nie mniej wspaniały patos, wyniosła uroczystość mowy a nawet również wyszydzane a także olśniewające paradoksy. Psychologicznie całe to poetyczne kapłaństwo, albo raczej papiestwo było zupełnie naturalne. W. Hugo wierzył w swoje namaszczenie i czuł w sobie potęgę — uważał się za założyciela nowej religii życia dla całej ludzkości. Owe paradoksy rzucał jako błyski natchnień, rozświecających drogę w ciemnościach błądzącym narodom. Chociaż na swym sztandarze romantycznym, między innemi godłami, umieścił barwy miejscowe, na przekór kosmopolityzmowi klasyków, chociaż nieraz cały świat zamykał w Paryżu, był on prawdziwym kosmopolitą w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa. Człowiek pewnego miejsca i czasu, stosunki pewnej określonej postaci, wypadki pewnej daty zajmowały go o tyle, o ile mógł w nich kopać niezmierzone głębiny. Ze swej wysokości, jako tytan trzymający czoło w chmurach i niemrużący oczu przed promieniami słońca, za godne siebie poczytywał mówić o potęgach natury i historyi, o wiekach, o ludzkości. W jednym z dramatów, krępujących tę skalę, wyprowadza na scenę kilka pokoleń, których najstarszy przedstawiciel liczy lat 100 i 80-kilkoletniego potomka nazywa „młodzieńcem." W. Hugo nie miał wprost zmysłu dla pojęcia małości; nie rozumiał roku — tylko stulecia, nie rozumiał człowieka — tylko ludzkość, nie rozumiał kraju — tylko kulę ziemską. Brzydota i piękność, występek i cnota — wszystko przedstawiało mu się w rozmiarach nadzwyczajnych. Jego bohaterowie są albo potworami, albo ideałami nadludzkimi. Zestawione obok siebie tworzyły ów kontrast, ową antytezę, której poeta tak chętnie używał i nadużywał. Cała ta krzykliwa przesada miała swoją dobrą stronę — wrzynała w umysł czytelnika pewne pojęcia i czucia, które bez niej nie utrwalałyby się tak głęboko. Niewątpliwie: Jan Valjean, Esmeralda, Quasimodo, sceny z *Nędzników* lub *93 roku* — są to twory wyobraźni nadmiernie rozbujałej, ale kto je zapomni, raz poznawszy? Wszelki paradoks, oprawiony w błyskotliwą formę słowa lub rozwinięty w jaskrawym pomyśle, posiada tę wielką wartość, że uwydatnia i mocno oświeca pewną cząstkę jakiejś prawdy życiowej, która tym sposobem jak błyskawica zapala się przed oczami ogółu.

Trudno byłoby wskazać jakąś ideę, za którą postęp walczy a którejby W. Hugo nie udzielił swego kapłańskiego błogosławieństwa; trudno byłoby odszukać w ostatnich dziejach Europy jakieś zbiorowe nieszczęście, o które by się nie upomniał; trudno byłoby znaleźć jakiś ucisk, którego by nie napiętnował. Według pewnego biografa, chociaż we Francyi należał do partyi i uważano go za bożyszcze, obnoszono go tylko jak świętą statuę podczas uroczystych procesyj, ale nie pytano o radę. Jest to uwaga poniekąd słuszna, gdyż W. Hugo ani w roli deputowanego, ani senatora radcą prawnym swego społeczeństwa lub stronnictwa w sprawach bieżących być nie mógł, ale mógł być i był genialnym obrońcą lub oskarżycielem w wielkich procesach świata. W jednym ze swych wierszy kreśli taki obraz: Na wieży kościelnej wisiał dzwon stary, początkowo lśniący i czysty, z wyrytem słowem—„Bóg." Zwiedzający wieżę, to nożem tępym, to gwoździem zardzewiałym, wydrapywali na nim swe nazwiska. zdania pospolite i niedorzeczne. Kurz i pajęczyna pokryły dzwon a rdza go pogryzła. I w duszy mojej — mówi poeta — odlanej ze szlachetnego kruszcu, przelotne namiętności wydrapały świeckie nazwiska i starły boskie znamię. Wszakże nie zaszkodziło to jej, jak i dzwonowi; skoro zakołyszę się, gdy jej dotknie niewidzialna ręka i rozkaże: śpiewaj,! wtedy nagle z drżącego wnętrza spiżu przez splugawioną powierzchnię przedziera się potężny, porywający dźwięk hymnów — a kurz, rdza, szczerby, wszystko musi brać udział w wielkiej harmonii. Porównanie słuszne. Ile razy nietylko we Francyi, ale gdziekolwiek zdarzył się wielki wypadek, wielka spra-

*) *Szkoła romantyczna we Francyi.* Pragnący poznać literacką działalność W. Hugo w dziele tem znajdą ją oświetloną ze stron wielu.

---

przywiązanie; pomimo to, coraz częściej przychodziło mu na myśl, że ona z czasem pożałuje życia zmarnowanego w niedostatku i samotności. O sobie nie myślał, ale dla niej rad byłby stworzyć lepsze otoczenie; troskę o tem zostawiał na później, tymczasem miał tyle do roboty. Przyczepiony za nędzną opłatę do jednego ze szpitalów, ślęczył tam po całych dniach prawie; wróciwszy do domu jadł, co mu dali, mało się troszcząc o niewygodę i tylko wówczas, kiedy nie miał ani rubla, a żona przypominała o jakimś niezbędnym sprawunku, zamyślał się, milczał przez chwilę:

— No cóż, wyjedziemy na prowincyę, do jakiej zapadłej mieściny. Tam możebym utył trochę, a po kilku latach sprawiłbym sobie futro. Jak myślisz?

Nie chciała słuchać o wyjeździe. Wszystkie jej projekty na przyszłość ściśle się wiązały z życiem w stolicy; zresztą, pewną była, że wkrótce będzie im coraz lepiej. Niepodobna przecież, żeby go nie oceniono. Ona tylko czasami przerzucając jego książki, lub dzienniki, zdobyła tyle wiadomości, o których jej się dawniej nie śniło, a cóż dopiero on, ślęczący nad książkami przez całe wieczory i część nocy! Uważała swego męża za najrozumniejszego z ludzi, pochlebiało jej to, że jest dozgonną towarzyszką człowieka, który kiedyś musi zostać sławnym i szanowanym. Jeśli wychodzili razem na ulicę, wsparta na jego ramieniu czuła się tak dumną, że najzupełniej zapominała o swej toalecie, oburzała się nawet, kiedy na nią spoglądano według zwyczaju. Szła przecież ze swoim mężem, z tym biednym mężyskiem, co przez cały dzień zapracowywa się jak wyrobnik. Gwałtem wyciągnęła go na przechadzkę i chciała mu tę chwilę uprzyjemnić jak umie, rozmawia tedy, śmieje się dla niego wyłącznie, po cóż ci gamonie prześladują ją wzrokiem, jak pierwszą lepszą zalotnicę. Tuliła się do jego ramienia, a on przeczuwając te myśli, całował jej rękę serdecznie, jak tylko zwrócili się w pustą uliczkę. Coraz częściej żałowała, że została wychowaną tylko na wielką panię, teraz chciałaby mieć dużo sił i dużo rozumu. Ile razy rozmawiał z nią o swej rozprawie, którą przygotowywał na stopień doktora, słuchała uważnie, patrząc mu w twarz swemi ślicznemi oczami, usiłując zrozumieć i zapamiętać, o czem mówił. On to widział, rozumiał, że w niej budzi się powoli dusza człowieka i roił sobie, że pogodzi się z położeniem, że zrozumie go w zupełności. Była to najpiękniejsza epoka w jego życiu. Tymczasem chudł, kaszlał, wieczorami miewał rozpalone dłonie i policzki, pracę zaniedbywał, nie rozcinał dzienników, książek nie otwierał wcale; siedział niby nad rozprawą, a ile razy żona zbliżyła się do biurka, zwracał na nią szklanne wejrzenie, patrzał długo, jakby się namyślał, co z tym fantem zrobić? Miał już wówczas paltot na puchu, popielaty fular i ciepłe kalosze; żona uszyła mu kaftan z białej flaneli i pilnowała, żeby go nakładał codziennie, bała się choroby, o śmierci nie myślała nigdy! Zamyślał się coraz częściej; czuł próżnię w płucach, spluwał krwią, a po grzbiecie przebiegały dreszcze, od których krzepł cały organizm. Zamknąłby oczy bez żalu; kilkanaście lat walki z biedą zobojętniły go na wszelką zmianę; w szarem życiu była tylko jedna żyłka, po której krążyła najlepsza krew jego serca.

— Jak umrę... ona zmarnieje!

Myśl ta paliła mózg i serce, próbował łudzić się nadzieją: dawniej nigdy nie stawał przed lustrem, teraz przyglądał się uważnie. Zmiana widoczna: skronie wklęsły, oczy zapadły, nos się wydłużył i ściemniał. Do szpitala wlecze się teraz przez trzy kwadranse, a jeszcze przed dwoma miesiącami tę samą przestrzeń w kwadrans przebywał: trudno się łudzić! Śmierci śmiało w oczy spogląda. Czasami gdy jest pewnym, że żona go nie widzi, chodząc po pokoju, zatrzymuje się w najciemniejszym kącie i, spojrzawszy ukradkiem na prawo, na lewo, podnosi na nią oczy. Łez nie znał, gdyż nie znał dzieciństwa, urodził się nędzarzem, a na słabość i mazgajstwo nie miał czasu; w ciężkich chwilach zaciskał zęby i mur głową przebijał; gdy patrzał na nią, czuł, że mu się w oczach szkliło. Miał dwie jesionowe szafy, w których znajdowało się trochę wybornych instrumentów medycznych i kilkadziesiąt cennych książek; sprzedając zawczasu, o-

wa, można było na pewno oczekiwać, że odezwie się wstrząsający dzwon XIX wieku — W. Hugo.

W poczuciu swej mocy i arcykapłaństwa, on, który wyzywał przed siebie siły natury i bohaterów historyi, on który obradował z Bogiem i wiecznością, on, który siedząc na poetycznym tronie, trzymał w jednej ręce berło myśli a w drugiej zamiast jabłka glob ziemski — musiał uważać się za równego najpotężniejszym i przemawiał do nich śmiało. Pamiętne są jego listy do monarchów za rozmaitymi przestępcami politycznymi. Wróciwszy po Sedanie do Paryża napisał ognistą proklamacyę, wzywającą niemców, ażeby powstrzymali kroki nieprzyjacielskie. „Zyskał nią tylko szyderstwo i kpiny“ — powiada patryota pruski, którego złośliwy śmiech rozlegał się wówczas w tysiącznych odbiciach, gdyż najmizerniejszy reporter nawet po za granicami Niemiec kpił z „zarozumiałego starca,“ rzucającego swoje słowo na szalę, na której mógł tylko miecz zaważyć. Rzeczywiście, śród szczęku oręża, w wieku panowania brutalnej siły taki szlachetny marzyciel był Don Kiszotem.

Niewielu historya zna wieszczów, których lira posiadałaby tyle strun. Pieśń W. Hugo przechodziła od „legend wieków“ do słowiczych śpiewów rodzinnych. Brandes słusznie zaznaczył, że był to między najznakomitszymi wyjątkowy poeta życia rodzinnego. Żonę, dzieci, wnuki, swoją dla nich miłość odmalował serdecznemi a prześlicznemi barwami. Czułość tego olbrzyma dla dzieci ma w sobie porywający urok. Nie pozwala on ich usuwać ze swej pracowni, gdyż „przy nich złoty wiersz wschodni jeszcze hojniej roztoczy malowane i rzeźbione kwiaty, ballada się ożywi, skrzydlate zwrotki ody wzbiją się ku niebu tchnieniem jeszcze ognistszem.“ Wspominając o młodości swej córki (która wyszedłszy za mąż utonęła), pisze: „Wieczorem, jako najstarsza, odzywała się: ojcze, chodź, przyniesiemy ci krzesło, opowiesz nam bajkę — dobrze? I widziałem, jak wszystkie te rajskie oczęta błyszczały ciekawością. Urządzałem mordy i krwawe rzezie, z cieniów na suficie robiłem bohaterów powieści, a cztery niewinne twarzyczki wciąż się śmiały zwykłym śmiechem tego wieku, kiedy słuchamy, jak małe bardzo mądre karły zwyciężają wielkich, bardzo głupich olbrzymów.“ Nieszczęśliwy ojciec, do grobu wyprzedziły go dzieci!...

Idealność uczuć i stosunków w życiu prywatnem podpierała bardzo mesyanizm W. Hugo, bo w tej czystości czerpał on również godność, którą zawsze okazywał jako prorok. Już w latach młodzieńczych przyjaciele i wyznawcy otaczali go czcią niemal religijną. Pierwsze przedstawienia *Hernaniego* przeszły śród gwałtownej burzy: wygwizdywano dramat, zakupywano miejsca, i nie zajmowano ich, ażeby teatr świecił pustkami, itd. Otóż liczne grono wielbicieli poety znajdowało się na każdem takiem widowisku i odpierało napaść oklaskami. Brandes przytacza list malarza Charleta, znamionujący nastrój tych młodych ludzi. „Czterej janczarowie—pisze on—ofiarują mi swoje dłonie, a ja składam je u nóg pańskich i proszę o cztery miejsca na dzisiejsze przedstawienie, jeżeli jeszcze nie za późno. Ręczę za swoich mężów. Są to ludzie, którzyby chętnie urzynali głowy, żeby zdobyć peruki. Zachęcam ich do wytrwania w tych szlachetnych uczuciach i nie puszczam bez udzielenia im ojcowskiego błogosławieństwa. Oni klękają, ja wyciągam ręce i powiadam: Młodzieńcy, niech was Bóg ma w swojej opiece. Sprawa jest dobra, spełnijcie swoją powinność. Oni powstają—ja dorzucam: A teraz dzieci, czuwajcie pilnie nad W. Hugo; Bóg wprawdzie jest dobry, ale ma on tyle do czynienia, że nasz przyjaciel musi przedewszystkiem liczyć na nas. Idźcież i nie zróbcie wstydu temu, któremu służycie. Amen.“

W tem wspomnieniu pośmiertnem ledwie napomknąć mogliśmy o właściwościach geniuszu wieszcza francuskiego, a jeszcze mniej o tych ziarnach, które szczerze w umysłowość całego świata zasiał. Główny nacisk kładziemy na jego lirykę zarówno ściśle osobistą, jak i rozszerzoną do ram większych—historycznych i ogólno ludzkich. Chociaż W. Hugo zyskał wawrzyny jako dramaturg, i chociaż w tej dziedzinie stworzył postacie wspaniałe, tu jego pióro, skłonne do abstrakcyi i nadmiernych potęgowań, mniej było zwycięskiem.

Czy mamy dodawać, jakim był mistrzem formy? Takiego języka muzy tegoczesne, w szlafrokach pospolitości występujące, nie używają: jest on dla nich za wytworny, za bogaty, za świąteczny. Ale każdy talent, który nie dba o przelatującą koło niego rzeszę, i który chce sięgnąć znaczeniem po za chwilę bieżącą, artystą słowa być musi.

Żałobę narodową przywdziała Francya po swym największym tego wieku poecie— szczery smutek okrył również serca wszystkich narodów, które go do swych literatur przeprowadziły. Piękna myśl symboliczna kryje się w wystawieniu zwłok W. Hugo pod Łukiem tryumfalnym, który jest pamiątką sławy Napoleona I. Łuk ten powinien dziś przejść w spadku po tym, który narody mordował, na tego, który ich rany koił *).

A. S.

Z FRANCYI.

Paryż, 25 maja.

Zgon Wiktora Hugo. — Rodzina poety. — Przedśmiertne oświadczenia i testament. — Majątek W. Hugo. — Rada miejska, Senat i Izba poselska. — Pogrzeb narodowy.— Rada ministrów i komitet pogrzebowy. — Apoteoza wieszcza pod arkadami *Arc de Triomphe* i projekt umieszczenia zwłok w Panteonie. — Oznaki hołdu dla zmarłego we Francyi i zagranicą.

Cały Paryż, Francya a rzec można cały świat cywilizowany jest obecnie pod wrażeniem zgonu Wiktora Hugo.

---

*) Bogaty dorobek pisarski W. Hugo podajemy w wykazie bibliograficznym, zaznaczając tylko prace ważniejsze, a przedewszystkiem przełożone na język polski: *Angelo*, *Burgrafowie*, *Hernani*, *Król się bawi*, *Marya Delorme*, *Marya Tudor* (dramaty); *Bug-Jargal*, *Han z Islandyi*, *Le dernier jour d'un condamné*, *Kościół P. Maryi w Paryżu*, *Nędznicy*, *Pracownicy morza*, *Człowiek śmiechu*, *Historya zbrodni*, *Rok 93* (powieści); *Legenda wieków* oraz drobne poezye; *Odes et ballades*, *Les orientales*, *Feuilles d'automne*, *Chants du crepuscule*, *Voix interieurs*, *Les rayons et les ombres*, *Contemplations*, *Mes fils*, *L'art d'être grand-père*, *Actes et paroles*, *Napoleon le Petit*, *Les chatiments*, *L'année terrible*, *Le pape*, *Religion et religions*, *L'âne*, *Les quatre vents de l'esprit*, *Tout la lyre* i inne.

---

trzyma za nie paręset rubli. W tym celu wypróżnił w biurku jedną szufladkę, wytarł z kurzu, a wysunąwszy, dmuchał w nią przez chwilę, usiłując oczyścić najdokładniej — wszak tu miał złożyć cząstkę przyszłości swej żony. Kiedy wynosił pierwsze dwie książki, czynił to ze złodziejską przezornością: z rana, wychodząc do szpitala, wyjął je z szafy ostrożnie położył na sofie i przykrył paltotem, a gdy się przekonał, że żona zajęta w drugim pokoju, wysunął się do przedpokoju. Zdawało mu się, że gdy ona ujrzy książki, wszystkiego się domyśli. Zdziecinniał z bólu, czy z osłabienia. Gdy, wróciwszy otworzył szafę, i spojrzał na szeroki przedział pozostały po wyjęciu dwóch grubych książek ze ścisłego szeregu—zasłonił oczy ręką. Była to jakby pierwsza grudka ziemi uderzająca o wieko jego trumny: w trupie drgnęło żyjące jeszcze serce. Tego dnia złożył pierwsze ośmnaście rubli; odtąd szufladka napełniała się kosztem opróżnionej szafy. Próbował przytem namówić żonę, żeby się uczyła akuszeryi. Projekt ten dodał mu sił; przez kilka dni czuł się rzeźwiejszym, nie kaszlał i poweselał. Tymczasem mógłby przecież ułatwić jej naukę, pracowałby... oh, żeby zdołał zostawić jej choć cząstkę swej wiedzy, uniósłby z sobą ból serdeczny, tęsknotę, ale nie rozpacz. Lecz ona śmiała się z tego projektu. Czyż nie miała zajęcia w domu? Zresztą, na co to się przyda?

— A jak mnie nie stanie? — szepnął niechcący niby i odwrócił głowę szukając czegoś na biórku.

Nie lubiła takich strasznych rozmów. Tegoż wieczora namówiła go do odwiedzenia jednego z kolegów, który, dzięki bogatemu ożenieniu, mieszkał wspaniale, miał powóz, i każdego czwartku przyjmował łaskawych przyjaciół z żonami. Włożyła czarną, jedwabną suknię z ogonem, koronkowy kołnierzyk, popielate rękawiczki, od stóp do głowy pachniała heliotropem; kiedy uśmiechnięta wesoło poprawiała mężowi krawat, on stał przed nią jak martwy; ręce mu obwisły, oczy się przymykały, zżółkł, zzieleniał... pogrzebał dziś ostatnią jaśniejszą nadzieję.

W parę miesięcy potem, na dworze czuć było wiosnę, słońce kwietniowe zaglądało do okien. Pokoiki na pierwszem piętrze wietrzono, wyklejano nowem obiciem, otwarte okna świeciły zdaleka świeżym pokostem. Nowy lokator odnawiał mieszkanie swoim kosztem; słyszał, że ktoś przed miesiącem zmarł tu na suchoty, lękał się tedy pozostawionej zarazy. Sąsiedzi zapomnieli już o pogrzebie młodego lekarza; tylko wieczorem, gdy przez okna otwarte szeroko widać było czarną przestrzeń pustych pokojów, przypominali sobie, że tam dotąd nikt jeszcze nie mieszka.

Lipska pozostała samotna bez przyjaciół i prawie bez znajomych. W ostatnim roku wprawdzie bywając z mężem u jednego z kolegów, spotykała dużo kobiet młodych i starych, z któremi przy herbacie rozmawiała o pogodzie i służących; z niektóremi tak się zbliżyła, że przy wyjściu ściskała za ręce i całowała w oba policzki; teraz jednak wszystkie te panie były dla niej jakby cienie z innego świata—one pozostały na określonem stanowisku, ona zaś odrazu znalazła się w szarej masie ludzi bez jutra. Gwałtowny żal prędko przechodzi, siły się wyczerpują; po odrętwieniu wraca spokój i trzeźwość. U rozpłakanych dzieci i u gwałtownych kobiet od łez do uśmiechu bardzo blizko; jednym i drugim pozostaje na czas jakiś urywane westchnienie, niby łzami tłumione, a po długim płaczu dostają zwykle kataru. Lipska przeszła wszystkie te fazy, nawet katar jej nie minął: przez kilka dni miała dreszcze i gorączkę; pewną była, że to suchoty. W pierwszej chwili myśl ta ją zachwycała. Widziała już siebie osłabioną, z wypiekami na wychudłych policzkach, przechadzającą się z trudnością po pokoju, albo, z nogami na miękkim stołeczku, siedzącą w fotelu naprzeciw otwartego okna. Na dworze wszystko rozkwita, zieleni się, wietrzyk przynosi z oddalonych ogrodów woń czeremchy i topoli... ptaszki szczebioczą, a ona umiera! Widziała już siebie w trumnie otoczoną kwiatami, w białej czamarze. Wyjęła swoją ślubną suknię z kufra i powiesiła w szafie na widoku. Koniecznie chciała być pochowaną w białej czamarze. Ludzi zbierze się dużo... na pogrzeb młodej kobiety zawsze się

Wielki mistrz romantyzmu zmarł w Paryżu, w pałacyku, który zajmował przy *Avenue Victor Hugo*, dnia 22 b. m. o godzinie 1-ej i pół w południe. Mimo podeszłego wieku (ur. 26 lutego 1802 r.) trzymał się krzepko. Przed tygodniem jeszcze wyglądał zdrów, i dopiero po obiedzie w towarzystwie, śród którego znajdował się i Lesseps z swą liczną rodziną, uczuł się chorym. Wystąpiło zapalenie płuc, co w połączeniu z przerostem serca, na który cierpiał już od pewnego czasu sędziwy poeta, spowodowało śmierć w ciągu dni kilku. Ciężko osiemdziesięcioletni ten tytan walczył ze śmiercią, w końcu jednak uległ.

Przy łożu chorego znajdowała się nieodstępnie pani Locroy, obecnie żona posła do Izby tego nazwiska, przedtem zaś małżonka Karola Hugo, syna poety, i dziś matka dwojga wnucząt zmarłego wieszcza, Jerzego i Janiny, które osładzały ostatnie jego lata i z powodu których napisał ostatnie swoje dzieło *l'Art d'être grand-père*. Poeta pozostawił jeszcze żyjącą córkę, Adelę, zamkniętą oddawna w domu obłąkanych i liczącą obecnie lat przeszło pięćdziesiąt. Historya jej jest zaprawdę tragiczną. W czasie pobytu ojca na wyspie Guernsey, poznała i pokochała młodego również oficera marynarki angielskiej. Hugo był przeciwnym temu związkowi, młodzi jednak połączyli się mimo to i wyjechali do Indyj. Po niewielu latach Adela wróciła z Indyj, w towarzystwie starej murzynki—wdową i obłąkaną. Powiadają, że poeta odwiedzał ją do końca życia co tydzień. Nie mniej smutny los spotkał drugą jego córkę, Leopoldynę. Wyszła ona zamąż za Karola Vacquerie. Wkrótce po ślubie wszakże utonęła w Sekwanie podczas pojażdżki w wątłem czółenku. Obaj synowie poety—Karol i Franciszek zmarli w młodym stosunkowo wieku, w latach 1870—73. Starszy jego brat Eugeniusz, który okazywał także literackie zdolności, zmarł już dawno, dostawszy pomięszania zmysłów. Do rodziny Hugona należy jeszcze żyjący syn trzeciego brata, Abla—Leopold. Dziad poety był cieślą w Nancy, ojciec zdobył w armii Napoleona generalskie szlify i tytuł hrabiego, którego jednakże W. Hugo nigdy nie używał, zawdzięczając swe wyniesienie jedynie talentowi i pracy.

Przy łożu chorego znajdował się także nieodstępnie stary przyjaciel i redaktor *Rappela*, której to gazety Wiktor Hugo był wyłącznym prawie właścicielem — August Vacquerie. Na jego to ręce, jeszcze w dniu 2 sierpnia 1883 r. złożył poeta w niezapieczętowanej kopercie następujące oświadczenie, na wypadek zgonu:

„Daję 50,000 fr. biednym.

Życzę sobie być zawiezionym na cmentarz w ich karawanie.

Nie chcę modłów żadnego kościoła; proszę o modlitwę wszystkich dusz.

Wierzę w Boga.“

Na powyższem oświadczeniu nie kończy się jednak cały testament Wiktora Hugo. Właściwe wyrażenie ostatniej jego woli, tworzące foliał znacznej objętości, złożone zostało u jednego z notaryuszów. Testament ten nosi datę 1875 r. Pomiędzy wykonawcami jego wymienieni są Juliusz Favre i Gambetta. Nie został on jeszcze ogłoszony, osoby jednak bliżej poinformowane znają jego treść. Wypowiedzieć tam miał Wiktor Hugo obszernie swe przekonania filozoficzne, literackie i polityczne; zostawił też rozporządzenie majątkowe. Podajemy niektóre szczegóły w tym względzie. Wyznaczeni zostali pełnomocnicy dla uporządkowania rękopisów i sporządzenia zbiorowego wydania dzieł mistrza. Wiktor Hugo pozostawił znaczny majątek, zebrany z dochodów literackich. Wynosi on 5 milionów 600,000 fr. W sumie tej 3 miliony w konsolidach angielskich złożone są u Rotszyldów, reszta w akcyach Banku belgijskiego i rencie francuskiej. Dom, w którym mieszkał poeta, nie był jego własnym: willę całą wynajmował on od księżny Lusignan za 6,000 fr. Ostatniemi czasy chciał ją kupić, nie zgodzono się jednak na cenę i poeta nabył pusty plac opodal, zamierzając wybudować na nim własny „hotel.“ Prócz tego miał posiadłość na wyspie Guernsey, którą przeznaczył wnuczce swej Janinie. Z majątku spadkowego ofiarował milion na dom przytułku dla dzieci opuszczonych; 12,000 fr. ma otrzymać zakład sierot na Guernsey; stowarzyszenia pisarzy dramatycznych i literatów dostaną również zapisy; 100,000 fr. przeznaczył dla biednych Paryża; 25,000 fr. dla kompanii omnibusów Passy-Bourse—z sumy tej wydawane być mają rok rocznie gratyfikacye dla konduktorów linii przechodzącej pod samemi oknami poety; Wiktor Hugo miał zwyczaj jeździć omnibusem do środka miasta.

Wieść o jego zgonie rozbiegła się lotem błyskawicy po Paryżu; oczekiwano jej z niepokojem już dni kilka, nie tracono jednak zupełnie nadziei. W Radzie miejskiej Paryża prezydent na znak żałoby, która dotyka ojczyznę, proponuje zawiesić posiedzenie. Cała Rada postanawia udać się bezzwłocznie do domu zmarłego dla złożenia hołdu zwłokom. Uchwalono także, że ciało Wiktora Hugo ma być złożone w Panteonie, a cała ulica na której zamieszkiwał, nazwana *Avenue Victor Hugo*. (Dotychczas część jej główna dochodząca do *Place de l'Etoile* nosiła nazwę „Avenue d'Eylau.“)

W senacie wiadomość o zgonie poety, który był jego członkiem, ogłosił prezes Le Royer, poczem przemówił prezes gabinetu, Brisson. Przedstawiając projekt rządowy wyprawienia Wiktorowi Hugo pogrzebu kosztem narodu, powiedział on, że sława zmarłego nie należy do żadnej partyi, ani do żadnej opinii, lecz do całej Francyi. Hugo zajmował miejsce w senacie na krańcowej lewicy; miejsce to ma pozostać niezajętem, umieszczona przytem na niem zostanie odpowiednia tablica z napisem. Na miejscu, gdzie zasiadał Garibaldi w Izbie włoskiej jest również tylko tablica z nazwiskiem wielkiego patryoty.

Izbę poselską zawiadomił prezes jej Floquet. Powiedział on między innemi: „Przez lat przeszło sześćdziesiąt ten bohater ludzkości przemawiał na korzyść słabych, poniżonych i wydziedziczonych, występował w obronie biednych, kobiet i dzieci, szerzył szacunek dla życia, wzywał o litość dla zbłąkanych, nawołując ich do obowiązku i światła... Dla tego też imię Wiktora Hugo winno być wspominane ze czcią nietylko w murach Akademii, lecz we wszystkich zgromadzeniach, gdzie wypracowują się nowoczesne ustawy...“ Po prezydencie Izby przemawiał prezydent gabinetu, przedstawiając do uchwały projekt narodowego pogrzebu i wnosząc zamknięcie posiedzenia na znak żałoby. Propozycyę tę uchwalono jednogłośnie, trzech tylko członków prawicy głosowało przeciwko uchwale, z powodu, że poeta umarł bez pojednania się z kościołem. Oczekiwano także, że ministeryum wystąpi

---

zbiera dużo ludzi... powiedzą zapewne, że boleść ją zabiła. Przyjdą i te panie... jej znajome; zobaczą, że ona taka dystyngowana mieszkała w dwóch pokojach tylko... zobaczą obdarte obicie, brudne firanki i meble pokryte wypłowiałym repsem. Ej, może nie przyjdą! Myśli te, jakkolwiek bolesne, oderwały ją od rzeczywistości, ukołysały zwolna stroskane serce. Tymczasem jeden ze znajomych najął dla niej pokoik przy rodzinie, przeniósł lepsze sprzęty, resztę spieniężył, i, urządziwszy wszystko, jak można najlepiej, przewiózł ją samą, uleczoną już z suchot za pomocą lipowego kwiatu. Kilkoletnie pożycie z człowiekiem rozumnym, wytrwałym pozostawiło na jej umyśle pewną pozłotę. Słyszała nieraz o godności człowieczej, która się utrzymuje tylko użyteczną pracą. Słyszała przytem wiele innych rzeczy. Postanowiła pracować — nie miała zresztą innej drogi do wyjścia. Po głowie snuły się najrozmaitsze projekty opromienione błyskotliwem powodzeniem, na końcu każdego stała sława, albo bogactwo. O powtórnem zamężciu nie myślała. Stara miłość skrystalizowała się w jej piersiach w brylantową łezkę—głowa mogła błądzić, chorobliwa fantazya haftować jaskrawe kwiaty na szarem tle rzeczywistości, ale serce nie zdołało zapomnieć odrazu, umilkło tylko pod nawałem nowych myśli. Musiała wynaleźć sobie odrazu zajęcie, dające byt skromny, ale niezależny. Kobiety w jej położeniu chwytają pierwszą lepszą pracę, byleby mieć kawałek chleba, wiedziała o tem, ale siebie uważała za wyjątek. Młodość przepędziła w dostatkach, była żoną znakomitego człowieka, należało się jej jakieś wybitniejsze stanowisko. Z chciwością odczytywała nazwiska kobiet odznaczających się w świecie literackim lub artystycznym; udzielane im pochwały wprawiały ją w zachwyt; czuła się zadowoloną, że jakaś kobieta dosięgła celu, do którego i ona podążać zamyśla: widoczny przykład oświecał drogę, a tem samem czynił ją jakby łatwiejszą. Należało zacząć, zapas pieniężny zmniejszał się z dniem każdym. Do nauczycielstwa miała wstręt, poważnej nauki lękała się, potrzebowała zarobku i choć odrobinę sławy na początek. Przechodząc ulicą zatrzymywała się przed każdą wystawą księgarską, z tej strony czekała natchnienia; w końcu kupiła nową powieść francuską i postanowiła przełożyć. Świetna myśl, natchnienie raczej! Droga z księgarni do domu wydała jej się nieskończoną. Kupiona książka paliła ją. Jak można było niepomyśleć o tem wcześniej! Wszak jeszcze za życia męża mogłaby się tem zająć, przyspożyłaby dochodów, a dziś miałaby już ustalony zarobek i sławę. Idąc, wrzała z niecierpliwości, żałowała każdej straconej chwili. Przyszedłszy, nie zdążyła zdjąć kapelusza i rękawiczek, odrazu zabrała się do rozcinania kartek; przerzuciła książkę, czytać nie mogła; w myślach tworzyło się mnóstwo świetnych projektów. Już przekład dokonany wybornie. O, niel już kilkanaście powieści, broszur, nawet dzieł poważnych przetłomaczyła z różnych języków, chociaż umiała tylko dwa i to niedokładnie, już jest zasypywaną propozycyami, nie może podołać pracy, już... oh, w głowie się mąci, gorączka ogarnia! Przez całą godzinę biegała po pokoju fantazyując coraz dziwaczniej. Książka leżała na stoliku, przechodząc brała ją do ręki, przerzucała bezmyślnie i chodziła znowu. Chwilami szeptała coś do siebie, uśmiechała się, albo potrząsała głową w rozkosznem zadowoleniu. Oh! żeby to wszystko można było dokonać w jeden dzień, w tydzień byłaby najszczęśliwszą. Wrzała przez cały wieczór, w nocy długo zasnąć nie mogła; nazajutrz projekt zbladł znacznie. W księgarni powiedziano jej, że powieść tłomaczyły już dwa pisma. Przypomniała sobie o wielkiej liczbie tłomaczów i tłomaczek, o tem, jak trudno zamieszczać podobne prace, wiedziała to i wczoraj, ale usiłowała zapomnieć, umysł potrzebował nacieszyć się błyskotliwym obrazkiem. Teraz dziwiła się nawet, że mogła pomyśleć z zapałem o pracy, która w najlepszym razie nie dostarczyłaby jej środków do życia.

Przez kilka dni była zupełnie spokojną; przekładała bieliznę i obliczała srebro—miała przy tem zapas odzieży—to dodało jej otuchy; nie znajdowała się przecież w ostatecznej biedzie—mogła czekać. Znaki na ręcznikach, serwetach i obrusach ozdobione koroną, jako też widok srebrnej

z wnioskiem przeniesienia zwłok Wiktora Hugo do Panteonu. (W ostatniej chwili dowiadujemy się, że rząd przywrócił Panteonowi charakter świecki).

Zaraz po zgonie poety*) zebrała się także rada ministrów, dla obmyślenia uroczystości. Postanowiono wznowić w tym względzie tradycye Konwentu i wyprawić pogrzeb w całem znaczeniu tego wyrazu wspaniały, w którymby wzięły udział wszystkie władze publiczne wraz z licznemi korporacyami. Wyznaczono bezzwłocznie komitet pogrzebowy pod przewodnictwem Turqueta, podsekretarza stanu w ministerstwie oświaty i sztuk pięknych. Komitet ten zadecydował już, że ciało poety wystawione zostanie pod arkadami wspaniałego Łuku tryumfalnego, wznoszącego się w końcu Pól Elizejskich na *Place de l'Etoile*. Łuk ten zostanie odpowiednio przybrany kirem i godłami narodowemi; zawieszone na nim będą liczne wieńce i wyznaczoną straż honorowa przy trumnie; nocą Łuk cały i Plac Gwiazdy zapłoną światłem elektrycznem i pochodniami. Ciało wieszcza wystawione tu zostanie od południa wilii pogrzebu do godziny 12-ej dnia następnego. Przez cały ten czas huk armat roznosić będzie daleko echo o zgonie poety. Mowy urzędowe wypowiedziane zostaną u stóp Łuku; inni przemawiać będą na cmentarzu lub u progów Panteonu. Grób rodziny Hugonów znajduje się na Père-Lachaise.

Nie tylko jednak Francya zamierza uczcić zmarłego wieszcza. Oczekiwane są w Paryżu liczne delegacye od różnych ciał zagranicznych. Wiele towarzystw i wybitnych osobistości z zagranicy nadesłało już telegramy i adresy z wyrażeniem hołdu dla zmarłego. Depesze telegraficzne ze wszystkich prawie ognisk cywilizacyjnego życia, zamieszczone w dziennikach, powiadomiły Francyę o tem, jak przyjęła wieść o zgonie Wiktora Hugo publiczność i prasa różnych krajów i narodów.

Ilustracya zamieściła wielki i udatnie wykonany rysunek zatytułowany: *Victor Hugo et ses oeuvres*, podznaczony „Andriolli z Wilna;“ prócz tego jeden z naszych młodych malarzy, Edward Lewy, odtworzył artystycznie podobiznę poety na tle Panteonu. Rysunek ten zatytułowany *Victor Hugo au Pantheon* jest obecnie sprzedawany po całym Paryżu.

P.

*) W wigilię śmierci Wiktora Hugona, t. j. dnia 21 b. m., arcybiskup Paryża kardynał Guibert wystosował do wdowy po jego synu Karolu, obecnie zamężnej Lockroy, list tej treści: „Biorę najżywszy udział w cierpieniach dostojnego chorego i obawach familii, i modlę się za niego. Jeśliby Wiktor Hugo zapragnął widzieć u siebie sługę naszej świętej religii, to chociaż sam jestem jeszcze osłabiony po świeżo przebytej ciężkiej chorobie, uważać sobie będę za słodki obowiązek przyjść mu z pomocą i pociechą, jakiej potrzebuje.“ Na ten list mąż synowej wieszcza, p. Lockroy, odpowiedział w imieniu całej rodziny, że chory stanowczo „nie chce wzywać pomocy księdza jakiegobądź wyznania.“

POZYTYWISTKA.

II.

Odpowiednio tym korzystnie zmienionym poglądom Żmichowskiej przedstawia się jej etyka. Już w myślach o wychowaniu, rzuconych w liście do przyjaciółki (1864 r.), zaznacza swoje stanowisko. Dawniej pewna była, że jest jej obowiązkiem najświętszym tak napędzać do prawdy, do szlachetności, jak się do gramatyki, do porządku napędza—w najlepszej wierze mocowała się z opornymi mózgami, póki się nie dały zasiać w słowa jej myśli, i tyle ciążyła nad słabszą duszyczką, aż jej struny do pewnego kamertonu ideałów dociągnąć się pozwoliły. Teraz w widzialnym takich usiłowań rezultacie spostrzegła sztuczne zjawisko tylko: zamiast nauczenia prawdy, przyzwyczaiła kilka osób do kłamstwa. Złe trzeba karcić, wytępiać, ale kto chce naciskiem jakimkolwiek dobre tworzyć, do dobrego zmuszać, ten większą czyni krzywdę duchowi człowieka, niż gdyby go do występków nakłaniał. Przekonała się o tem na własnych uczenicach z posiewu, jaki zbierała z przymusowej etyki, z tego ciągnięcia za oba uszy do prawdy. „Do prawdy i ku prawdzie człowiek sam iść tylko może—powiada Żmichowska przytaczając jako przykład ilustracyi metodę księdza H. w jego postępowaniu z zagarniętemi do Felicyanek duszyczkami. On ich przecież dla dobrego niby zdobywał (przypuśćmy, iż chodziło jedynie o wyrzeczenie się świata, męża, rodziny, a zajęcie modlitwą, dziećmi i ubóstwem). Niemniej jednak metoda jego była okropnem morderstwem wewnętrznem i potworności z niej się wylęgły.“

Kodeks etyczny Gabryeli nie wyklucza miłości bliźniego, któremu każe równie jak sobie mienia, szczęścia i rozumu przysparzać. Pojęcie co do bliźniego ciaśniejsze jest lub szersze, obejmuje rodzinę lub pokolenie, naród lub całe człowieczeństwo, ale grunt stosunku z bliźnim ten sam. Darwina walka o byt w niczem mu się nie sprzeciwia, owszem warunki jego objaśnia. Jeżeli Gabryela w tym punkcie zgadzała się z tradycyą, to daleką była od owej błogiej, barankowej miłości. Owszem poglądy jej na życie ludzkie miały zawsze ponure tło, pesymistycznie zabarwione. Tę gorycz przyniosła z sobą na świat—był to cierpki owoc nagromadzonych już w narodzie i dziedzictwem przekazywanych rozpaczy. Zarodki te rozwijają potem okoliczności i wpływy poboczne. Już w pismach Entuzyastki podzwania piosenka pesymistyczna nad uchem, ale jest to raczej skarga Joba, zwątpienie z serca płynące, pod którego lodowatą powłoką czuć ciepło wiary. Miara goryczy wezbrała nad brzegi w zakończeniu „Książki Pamiątek“ (1859 r.). Złe się nie poprawia, dobre się psuje, szermierstwo siły wycieńcza. Było nierozważność śmiertelną chorobą grozi, ocet z żółcią smak przytępia, a cukier z miodem rozmdławia, i kuracye szkodzą, i cierpliwość nie leczy—głupcy marnują swoją pracę, rozumni marnują się bez pracy; nad wszystkimi straszliwa zda się klątwa zepsucia lub nieużyteczności zawisła. Do koła widać tylko skalane ręce zbogaconych szachrajów, nikczemnych i egoistów, masę obłudy, próżności, kłamstwa i niechęci... Lecz obrazy te straszne, napiętnowane oburzeniem autorki, dowodzą—jak słusznie zauważył Chmielowski—że jej wyrozumiałość i spokój znajdowały się dopiero w fazie teoretycznej. W praktyce urzeczywistnić się miały dopiero pod wpływem nauki pozytywnej.

Nieznaczną zmianę w tym kierunku widać już pod koniec jej smutnych doświadczeń... W 1853 pisze do swych entuzyastek: „Powoli zaczęłam drętwieć na wiele, bardzo wiele rzeczy. Jeśli kto z ukochanych moich umiera—prawie nie żałuję—po co miał dłużej cierpieć tutaj z nami? Jeśli grzeszy, nie oburzam się, to konieczne dzisiejszego stanu rzeczy następstwo; jeśli dobrze czyni, to i cieszyć się nie śmiem, w marność może pójść jego praca.“

Posłuchajmy teraz w tej rzeczy dojrzałej pozytywistki: „Tak, jak jest (pisze do Elli 1874 r.), nie jest mi wygodnie—często przyjdzie sarknąć, skrzywić się, zakląć nawet; ale uznałam to koniecznością i coraz ciszej siedzę—bo nie uwierzysz, do jakiego ja stopnia konieczność szanuję. Rozbijam się, póki można, żeby coś „koniecznością“ się nie stało—ale gdy widzę, że nic a nic już nie zaradzę, że się coś stało lub stać musi—mniej cierpię; czasem to i wytłomaczyć sobie ich boleści nie umiem, bo zdaje mi się najwyższą nie konsekwencyą wobec praw natury.“ Takiem logicznem zachowaniem się nabyła wprawy do przyjmowania skutków nieuchronnych, nieodzownych, i pozbyła się lirycznego pesymizmu, który do niczego nie prowadzi. W życiu pozytywistki zajmuje trzeźwość pierwsze, a marzenie ostatnie miejsce. „Marzenie w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu jest niedołęstwem a w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem.“ (z „Białej Róży“).

Ta trzeźwość i postępowość cechuje także pedagogię Żmichowskiej. Domaga się ona przedewszystkiem fizyologicznego wychowania młodzieży, nad którego zaniedbaniem ciągle utyskuje. Zdrowie nazywa

---

cukiernicy, szczypczyków, łyżeczek, obudziły w niej dumę rodową, przypomniały o różnych krewnych, postanowiła odnowić stosunki, napisała kilka listów na chybił trafił, gdyż krewni ci znani jej byli tylko z nazwiska, niektórych znała w dzieciństwie. Tymczasem przerabiała swoje stare suknie, prała koronki i czytała o sławnych kobietach. Odpowiedzi nie nadeszły. Przekonała się, że jest sama na świecie, że oprócz wuja w siermiędze z siekierą i piłą ogrodniczą za pasem nie ma nikogo. Nie zmartwiła się tem wcale, gdyż w myślach zaświtał nowy projekt, i odrazu pochłonął całą jej istotę. Miała talent do śpiewu ogromny. Raz nawet występowała publicznie na cel dobroczynny; słuchacze byli zachwyceni, podano jej pyszny bukiet, a stary prezes, wielki znawca wdzięków kobiecych, gdy sprowadzał ją z estrady szeplenił, pyrskając śliną na jej szyję.

— Mais vouz avez du talent... oui.. oui... un grand talent. Oczarowałaś nas pani! vous êtes charrrmante en cette toilette...

Ojciec jej zajmował wówczas świetne stanowisko, ona zaś uchodziła za posażną pannę, zapewne pochlebiano jej trochę, ale... postanowiła odkopać skarb zaniedbany przez lat kilka. W pierwszej chwili nie obeszło się bez gorączki. Odrazu ujrzała siebie u szczytu sławy w najrozmaitszych kostiumach i toaletach; przesycona hołdami, depcząca po kwiatach... kwiaty nasunęły jej kilka poważnych myśli. Po co tracić tyle pieniędzy na rzecz tak znikomą. Ona to zreformuje—nie pozwoli na takie marnotrawstwo. Chociaż, jak można zaprzeczyć tłumom okazywać uwielbienie. Cóż robić, trzeba będzie pogodzić się z manią wieńców i bukietów. Zaczęła brać lekcye. Głos silny nie miał określonej skali, w chórach szło jako tako; solo fałszowała strasznie! nie miała słuchu! Nie wierzyła gdy jej to mówiono; pracowała dalej. Po roku nauczyciel powiedział, że ma zamiścić ją jako chórzystkę w teatrze. Zapas pieniężny już się wyczerpał, sprzedała bieliznę i futro, należało wejść do chóru... na czas jakiś; wkrótce zaczną jej dawać role, a później.. pocieszała siebie jak mogła, w istocie zaś potrzebowała zarobku. Wystawiano nowę operę, zwykłe siły nie wystarczały, gdyż jednocześnie wysortowano kilka zużytych egzemplarzów, na ich miejsce postąpiły nowe — między innemi i Lipska. Kupiła sobie ładną tekę do noszenia nót, na próby ubierała się starannie dla wyróżnienia od starych szczególniej, które miały zwykle brudne spódnice i wykrzywione obcasy u bucików, unikała znajomości, nie przez dumę, broń Boże! ale ten motłoch śpiewający wydał jej się wstrętnym zbliska. Prawie wszystkie wymalowane, mają żółte szyje i chude ręce, młode chichoczą czasami, stare—istne maszyny o bezmyślnym, szklannym wzroku!

(D. c. n.)

Ostoja.

religią ciała, a dbałość o nie—najpierwszem względem bliźnich i samych siebie obowiązkiem (Listy do młodej nauczycielki 26 grudnia 1872). Ona przysposobiła u nas grunt pod ochronki i ogródki Froeblowskie (uważane podówczas jeszcze za szkodliwe nowatorstwa), chcąc tą zbiorową ochroną zabezpieczyć dzieci od złego przykładu nianiek, „łobuzowstwa dziedzińcowych zabaw“ a częstokroć od groźnych skutków zaniedbania. Widok dzieci rozbijających się po ogrodach lub dziedzińcach, samopas puszczonych, złem, bezwstydnem zepsuciem otoczonych do koła, budzi w niej smutek i litość, a nie zważa nic na owe małomiasteczkowe grymasy, że pani naczelnikowa nie chce córeczki posyłać, gdzie są dzieci państwa aptekarzów itp., lecz wytrwale pracuje nad urzeczywistnieniem swoich „ochronnych marzeń.“ Pedagogię jej podsycały coraz to nowe zdobycze nauk przyrodniczych. Oto jej *credo* z psychologii wychowawczej: Rodzice dają dziecku jego naturę, t. j. podkład skłonności, usposobień, temperamentu itp. Od bardzo dawnego czasu ludzie to przysłowiami uświęcili „niedaleko jabłko od jabłoni pada“ „jaka rzepa taka nać, taka córuś jaka mać“ itd. Darwin przysłowia te w trochę brutalną rzeczywistość oprawił. Rodzice więc dają dziecku naturę jego—co, ma się rozumieć, do pewnego stopnia tak od rodziców nie zależy, jak ich własna natura. Może wprawdzie matka całem dziewięciomiesięcznem życiem swojem przysporzyć płodowi zdrowia lub choroby, zarodków gruntu jednak nie zmieni przy najszczerszych życzeniach—za staraniem rodziców nie rodzą się geniusze, ani zbrodniarze. Gdy więc maleństwo nieznane na świat przyjdzie, trzeba je uznać faktem dokonanym z bogactwem czy ubóstwem, które sobie przynosi. A teraz charakter, dalsze rozwinięcie owego skarbu i braku, wyrobienie z tego sposobów postępowania, przywyknień, upodobań, pragnień i celów życia—to już rzecz tak najwłaściwsza człowieka, że rodzice ledwie pośredni wpływ mają. Ale ważna część istoty ludzkiej pod zupełny wpływ rodzicom oddana: tą cząstką jest naukowo umysłowe rozwinięcie dziecka. To tak zupełnie od rodziców zależne, jak wytresowanie konia w ujeżdżalni. Plan edukacyjny nietylko z nauczycielką powinien być przeprowadzony, ale z doktorem, biegłym antropologiem także, (myśl ta obszerniej jest rozwinięta w „Artykule o bonach“ dotąd niedrukowanym). Znajomości antropologii wymaga Gabryela od każdej kobiety: „gdybym miała głos w jakiej izbie prawodawczej, tobym wniosek stawiła, żeby żadnej pannie ślubu nie dano, póki by z takiego katechizmu egzaminu nie złożyła. Kobietom się zdaje, że jak pójdą za mąż i dziecko urodzą, to już lepiej od wszystkich wiedzą, co temu dziecku potrzeba. Miłość macierzyńska! objawienie! anioł z nieba! nonsensy, mistycyzmy, najłatwiejszy sposób pedagogicznej inicyacyi! Wcale ja przecież nie ubliżam ani instynktowi macierzyńskiemu, ani miłości; owszem przekonana jestem, że nikt tak jak matka dziecka znać nie może, bo dziecko jest rzeczywiście dalszym ciągiem, dalej rozwijającą się cząstką tejże matki właśnie; ona w każdej chwili może dokładniej odczuć wszystkie dziecka wrażenia, zmiarkować pobudki, rozgatunkować różne synonimy moralne; lecz pierwej pytanie wielkie: czy sama w sobie zastanowiła się nad niemi kiedy, czy osądziła, nazwała? czy nazwawszy umiała pokierować? Uderza też na fałsz pedagogiczny w skutkach swych bardzo niebezpieczny, co każe wychowywać młode dziewczęta przez jakąś skromność czy niewinność w nieświadomości niektórych fizyologicznych funkcyj; gdyby dziewczyna rozumiała, że z 14-ym lub 16-ym rokiem jej życia zaczynają się w niej rozbudzać popędy zmysłowe; gdyby poważnie ich cel uznawszy, rozeznała drażliwe i oszukujące wpływy, toby pewniej potrafiła rozumniej życiem pokierować; tymczasem uczy się tajemnie życia albo podkradanym, najzgubniejszym sposobem, albo z książek i domysłów, albo w najlepszem, „idealnem“ przypuszczeniu od męża dopiero. Gabryela zrywa stanowczo z wychowaniem kobiet ku beletrystyce tylko skierowanem, w którem po za historyą, literaturą i nowożytnymi językami świat dla nich deskami zabity; natomiast układa już 1867 r. projekty technicznych szkół, w których zamiast próżniaczek z bawialnego pokoju i lichych guwernantek, kształciłyby się kobiety praktyczne, oznajmione dobrze z rachunkami, z rysunkiem i z tem wszystkiem, co tylko dzisiaj na drodze pracy zarobkowej przystępnem dla nich być może; marzy nawet o założeniu drugiego Marymontu dla kobiet, w którymby niewieście gospodarstwo naukowo, z wszelkiemi ulepszeniami postępowemi wykładane było, a zawsze gorliwie zaleca kobietom nauki przyrodnicze. „W prawdach ściśle naukowych—pisze do kanoniczki 11 kwietnia 1864—jesteśmy okropnie zapóźnione względem wszystkiego, co dziś sobie rozum człowieczy na swoją niezaprzeczoną własność zdobył. Człowiek tak potrzebuje się znać, a tak nic nie zna, gdy się w potęgach i słabościach organizmu swego nie pojmuje. Nasze prawdy są głównie religijnymi dogmatami. Otóż mi przyznać musisz Wicuniu, że chociaż kościół katolicki o dogmatach dysputować zakazuje, sam jednak ma pełno Ojców świętych i Doktorów, którzy ich dowodzić potrzebują; tymczasem władze rozumowe kobiety najpierwej i jedynie spotykają materyał nierozstrzygniętych kwestyj. W dalszym ciągu podsycają go historyą i literaturą, zamykającemi prawie zawsze cykl naszych wiadomości. Nie dziwi mię też wcale brak gruntowności i sensu między wychowanemi kobietami, których pewne władze umysłu tak są uśpione, tak niewprawne do działania, jak nerwy wzrokowe w oczach ludzi, nieumiejących tych lub owych kolorów rozpoznawać.“ Za podstawę wychowania bierze Żmichowska nauki ściśle, matematyczne. To proste dwa a dwa cztery—to nieuchylony fundament prac życia naszego, to pierwsze ćwiczenie, które ujmuje fantazyę w karby prawa, a bez pojęcia prawa niema pojęcia obowiązku. W epoce kiedy emancypacya kobiet w zewnętrznych pochwycona objawach z Zachodu, bez uwzględnienia właściwości kraju i narodu, zaczynała już tańcować po mózgach niektórych kobiet i harce na powierzchni życia społecznego wyprawiać, myślała o wyzwoleniu ducha kobiety. „Niejednej się zdawało—mówi w liście do siostrzeńca—że byle na konia siąść, cygaro zapalić, a choćby w najlepszym razie mieć odwagę na śmierć i nieszczęście, to emancypacya—dobre to czasy były, minął wiek złoty!“ Gabryela nie odsuwa kobiet nawet od udziału w polityce, wskazując im w przyszłości rolę rozjemczyń politycznych. „Nie zabiegam—powiada—w zbyt idealne kombinacye, by wojnę zupełnie z rodu ludzkiego uchylić—jeszcze jest i będzie na bardzo długo potrzebna; ale w przedsięwzięciu wojny, w zawarciu pokoju, głos kobiet musi być słuchanym. Wiem, że dzisiaj te sroki dadzą się unieść męskim namiętnościom a raczej oficerskim natchnieniom—gwałtowniej od wszystkich pauprów i gawroszów upiją się manifestacyami i demonstracyami, stroić będą w gałązki i takie lub owakie kolory; ale niech raz cząstka ich przynajmniej rozumniejsza odezwie się słowem sądu, niech wystąpi w imię prawdziwego interesu, niech *veto* swoje przeciw stratom niepotrzebnym położy, lub rozstrzygnięcie, czy ofiary są konieczne, objawi, to i wiele naleciałości z politycznych entuzyazmów odpadnie.“

B.

O CHOLERZE.

(Wykład prof. Chałubińskiego).

Sprawa cholery ze strony teoretycznej i praktycznej zajmuje ciągle specyalistów i ogół. W Berlinie odbyła się znowu rozprawa między znakomitymi jej badaczami (Kochem, Pettenhoferem, Virchowem i i.); u nas posuwa się ciągle organizacya obrony przeciwko możliwemu wybuchowi zarazy, a główny jej znawca i przewodnik w obmyślaniu środków ochronnych i lekarskich, szanowny prof. Chałubiński miał nadto w Towarzystwie lekarskiem obszerny wykład, który podobno ukaże się wydrukowany, a z którego my dajemy pobieżną notatkę, dopełniającą to, cośmy w n-rze 42 *Prawdy* z r. z. na podstawie artykułu czcigodnego autora w *Gazecie lekarskiej* o cholerze zamieścili.

Oto główna osnowa wywodu.

Jakkolwiek dużo prac włożono w zbadanie istoty cholery, dotychczas jednak wiedza lekarska ma przed sobą zagadkę jeżeli nie mniejszą, to w każdym razie nie większą, niż w wielu innych chorobach.

Weźmy dla przykładu niby dobrze znaną malaryę, która zresztą nastręcza się tu do porównania pewnem pokrewieństwem; pomijając objawy, gdyż one tu i tam oddawna dobrze znane i opisane, czy znamy lepiej prawdziwą przyczynę wywołującą cały obraz chorobny? Czy dla malaryi mamy nawet coś podobnego, dość mocno doświadczeniami popartego jak „bacylle przecinkowe“ Kocha? Bynajmniej (*bacillus malariae* Klebsa i Tommasi są daleko bardziej wątpliwe). Jeżeli zaś ogół robi lekarzom zarzut nieznajomości cholery, wynika to stąd, że przeciwko niej nie istnieje dotychczas tak rozpowszechniony środek, jakim jest chinina dla malaryi. Lecz środek i przyczyna — to dwie zupełnie różne rzeczy, nie mówiąc już o pewnej niewłaściwości nazywania chininy środkiem „leczącym febrę,“ gdyż ona nie leczy istniejącego, rozwiniętego napadu (nikt takiego działania chininy nie widział), ale uprzedza napady następne. Otóż jeżeli chodzi o uprzedzenie napadu — nie stoimy z cholerą gorzej, niż z malaryą.

Na ostateczne wyjaśnienie: czy tą przyczyną są „przecinkowe bacylle“ Kocha i w jaki mianowicie sposób działają — długo jeszcze prawdopodobnie czekać będziemy. W każdym razie dociekania, mające na celu zbadanie: w jakim stosunku pozostają one do cholery azyatyckiej — są bezwątpienia pożyteczne, gdyż nawet w razie ujemnych wyników niewiadomość nasza o ten zakres będzie zmniejszoną.

Objawy poczynającej się cholery azyatyckiej różne są pod względem znaczenia i natężenia. Rodzi się ona pod postacią nieznacznych zmian w krążeniu i trawieniu: mdłości, osłabienia, goryczy w ustach, co bez epidemii zwykle dobrze się kończy, a i podczas niej do dalszych następstw może nie prowadzić. Dalej dołączają się wodniste wypróżnienia, które również mogą ustać, nic pociągając za sobą żadnych nowych objawów. Właściwy atak cholery znamionuje się głównie nadzwyczajnym upadkiem sił i upośledzeniem krążenia, przyczem występują: wymioty, sinica, wodniste wypróżnienia a puls upada tak, że ledwo wyczuć się daje w tętnicy promieniowej, szyjowej, wreszcie przychodzi zupełne wyczerpanie mięśnia sercowego i paraliż serca.

Ten właśnie objaw, to usposobienie serca do paraliżu jest główną cechą, głównem niebezpieczeństwem grożącem ze strony cholery. Za przyczynę tego objawu uważają niektórzy zagęszczenie krwi, skutkiem wielkiej utraty wody z wymiociami i wypróżnieniami, resp. przeszkodę

mechaniczną, której serce pokonać nie może. *Że tak nie jest* przekonywa cholera swojska, przy której, pomimo takiejże, jeżeli nie znaczniejszej utraty soków, paraliż serca nigdy nie następuje.

Znane są również epidemie, gdzie chorzy, nie tracąc zupełnie soków, gdyż nie mają wymiotów ani wypróżnień, umierają pomimo to z paraliżu serca.

Czas trwania wszystkich razem okresów, jak również i każdego z osobna, wynosić może od kilku godzin do kilku dni i więcej; przyczem rzadko objawy następują szeregiem ciągłym: zwykle zaś mamy pewne przerwy—przestanki, które też trzeba uchwycić dla stosowania odpowiednich środków.

Co do leczenia cholery, jak już wzmiankowano, ma ono wszelkie szanse powodzenia, a nawet pewności dobrego skutku, jeżeli zdołamy zapobiedz wystąpieniu prawdziwego jej napadu. Uprzedzony we właściwym czasie napad nie zjawia się. Na to uprzedzenie więc zwrócić należy całą uwagę — a zatem podczas epidemii bacznie śledzić i usuwać nawet lekkie upośledzenia trawienia, nie pomijając pewnych momentów psychicznych.

Ze środków, które nigdy nie zawodzą, najpierwsze miejsce zajmuje odpowiednio i we właściwym czasie podane *vomitorium compositum* (ipekakuana z emetykiem 1:0,005). Ilekroć za pośrednictwem tego środka udało się wywołać obfite wymioty żółciowe — choroba nie posuwała się dalej. Zupełnie nieskuteczną jest sama ipekakuana; na drugim planie postawić należy kalomel, a całkiem zaniechać użycia makowca dla zapobieżenia napadowi.

Nie poprzestając na środkach, uprzedzających atak choroby, zwracać jeszcze należy uwagę na właściwe postępowanie dyetetyczne oddzielnych jednostek, które w razie wybuchu epidemii winny się znajdować pod ścisłą kontrolą. Lekarz, mający sobie powierzony niewielki rewir, winien być zawiadamiany o wypadku każdej choroby, nietylko cholery, w domach pieczy jego poruczonych. Ponieważ zaś przytem dużo cierpią biedacy, niemający dostatecznego i regularnego pożywienia, lekarz winien odwoływać się do miłosierdzia sąsiadów, którzy swój współudział w razie grożącej ogólnej klęski chętnie podejmą.

LIBERUM VETO.

Niezasłużony zaszczyt i moja wstydliwość. — Arystokracya ducha. — Prus na kołnierzykach i tajemnie żywione nadzieje. — Ostatnie strzały i ostatnie krople wiwatów. — Znawcy archeologii. — Dziwy: szlachcianka w sklepie i chłopka we Franzensbadzie. — Biali niewolnicy i wyścig współczucia z nagrodą w prenumeracie.

Przypuszczam, że adwokaci, lekarze, nauczyciele i inni ludzie z warstwy spodniej, otrzymawszy *per nefas* bilety na przedstawienie trupy meiningeńskiej dla „literatów i artystów,“ czuli całą ważność chwili i ów blask, w którym niezasłużenie kąpać się będą. Jeżeli zaś którykolwiek z tych zwykłych śmiertelników, dopuszczonych do towarzystwa wysokiej „arystokracyi ducha,“ nie uświadomił sobie należycie otrzymanego zaszczytu, jeżeli nie pojmował, co to znaczy siedzieć obok tego, który „pierwszy“ doniósł o uśmierzaniu fal morskich olejem, lub który w przerwach między napisaniem jednej noweli a drugiej „rżnie“ i „rąbie“ w *Kuryerze* etyków, estetyków, psychologów, socyologów, pedagogów, fizyologów, przyrodników itd. — jeśli, mówię, znalazł się ktoś tak tępy, to go nazajutrz nauczono rozumu. Kilka pism naprzód delikatnie wspomniało o intruzach, a następnie zauważyło teatrowi, że chyba nigdy tak dostojnego zgromadzenia nie widział. I ja też, któremu nieraz języki pokazywali „arystokraci ducha“ przez okno z przedpokoju p. L. Górskiego lub L. hr. Krasińskiego, nie śmiałbym pójść na widowisko przeznaczone dla wybranych, gdyby mnie na nie p. Chronegk nie zaprosił listem polskim. Wchodziłem do sali teatralnej głęboko wzruszony i pokorny, rozmyślając: co zrobię z moim wstydem, jeżeli los posadzi mnie obok tego, który „pierwszy doniósł“ o uśmierzaniu fal morskich olejem, „opłukał“ Spencera lub też umieścił powiat lipowiecki w gubernii grodzieńskiej? Obok mojego numeru znajduję krzesło puste — odetchnąłem. Może przeznaczone dla tego, który „pierwszy doniósł“ a znakomity literat nie przyjdzie? Czekam i korzystam z głośnej rozmowy przewodników narodu. Słyszę często powtarzane wyrazy: Andzia—Wisnowska — ksiądz rektor — kotlety—szykowna facetka, ale tych wykrzyków nie mogę związać w żaden estetyczny system. Widzę tylko, że „arystokratom ducha“ bardzo się podoba *Lidya*, która mnie wydaje się pospolitym knedlem muzy niemieckiej, że oni chcą gwałtem wywoływać aktorów meiningeńskich podczas przedstawienia, za co chłoszczą ciągle paradyz, że... Nagle słyszę koło siebie rozmowę:

— Czy wiesz—dotąd jeszcze tajemnica: nazwiskiem B. Prusa ochrzczono nowe kołnierzyki?

— Niepodobna!

— Z najlepszego źródła.

— A to dobrze, przecież on rzetelnie zasłużył, a nawet powiedzmy sobie, że go nie oceniono. Doskonały pomysł—ciekawym kogo wezmą z kolei?

— Może Sienkiewicza?

— Zdaje mi się, że już ma jakieś mankiety.

— Może Asnyka?

— Zapewne będą wybierali tylko miejscowych.

— A Matejko? Są przecież jego kołnierzyki!

— Prawda—no, zobaczymy.

Ucichli—obejrzałem się i spostrzegłem kilka zamyślonych twarzy, a na każdej z nich rysowała się wyraźnie myśl:

— Po Prusie zapewne mojem nazwiskiem oznaczą kołnierzyki, chociaż jeszcze nie było mojej fotografii na czekoladkach.

— Jak oni grają! jak oni grają!—szepczą jakieś światłe usta podczas przedstawienia komedyi Moliera *Chory z urojenia*. Coby to było, gdyby Argana grał Żółkowski.

— Świetny Argan — słyszę z drugiej strony — gdyby tak Żółkowski!.. Te westchnienia na korzyść Żółkowskiego, po najwyższych zachwytach nad meiningeńczykami, powtarzały się ustawicznie i przekonały mnie, że z moździerza uwielbień dla trupy niemieckiej wybuchają już ostatnie naboje.

Rzeczywiście, już ochłonęliśmy: krytycy coraz mocniej akcentują wartość scen „zbiorowych,“ pomijają solistów, a nawet robią lekkie zarzuty, i jak po *Chorym z urojenia* zasmakował im Żółkowski, tak po *Zbójcach* — Królikowski. Z kielicha toastowego, wznoszonego na cześć trupy p. Chronegka, prasa nasza sączy już ostatnie krople uniesień, i upojona, z bólem głowy, powtarza tylko: sceny zbiorowe; lud na forum—uczta w Walensteinie — wierność historyczna — harmonia — arcydzieło! Co do zapewnień o tej wierności wszakże nie radziłbym zbyt im ufać i mam pewne powody mniemać, że gdyby meiningeńczycy rzymskiego wieszczka ubrali w strój egipskiego faraona, co najmniej połowa „arystokracyi ducha“ zachwycałaby się ich archeologiczną ścisłością. Gdy jednemu z tych znawców ktoś zwrócił uwagę na niewłaściwość urządzania Cezarowi i Kalpurnii estrady tronowej, szan. archeolog, zapalczywie wychwalający „wierność historyczną,“ odrzekł: ja tam w tych rzeczach nie jestem *twardy*.

Ach, ja bym znalazł materyał do zapełnienia glinianek przy rogatkach Wolskich i literatura niby na tem nie ucierpiała!..

Bądź co bądź, żyjemy obecnie w dobie wypadków niezwykłych. Już sam przyjazd meiningeńczyków był faktem niezwykłym; dalej — ich przedstawienie dla artystów i literatów, wiedzących — jak powiada pewne pismo — gdzie klaskać, kogo i kiedy wywołać. A i życie przygotowało nam kilka niespodzianek. Przedewszystkiem *Gazeta warsz.* zdradziła tajemnicę szlachetnej ofiary.“ Oto — pisze ona — „córka jednego z najświatlejszych naszych rolników zasiadła w Warszawie za stołem sklepowym, kierując osobiście pospołu z mężem sprzedażą artykułów spożywczych, a głównie produktów wiejskich. Jest nią pani H. córka p. M. H. z N., która w sklepie przy ulicy Jerozolimskiej już jak wytrawny kupiec sprzedaje, waży i mierzy. Państwo H. nie należą do rzędu retretowanych rolników, których niepowodzenia na bruk miejski wyrzuciły; ale ze świadomością obowiązków i korzyści, z odrzuceniem śmiesznych a jeszcze kołaczących się wśród nas uprzedzeń, rozporządzając poważnym kapitałem, otworzyli sklep produktów wiejskich.“

Owa „córka jednego z najświatlejszych rolników“ pracująca we własnym sklepie, chociaż jej los z siodła ziemiańskiego nie wyrzucił, jest niewątpliwie kobietą rozumną i praktyczną; ale jakiem jest społeczeństwo, albo raczej jego organy, które składają hołd publiczny bogatej „obywatelce“ za zniżenie się do kupieckiego zawodu? O, my hołysze, ledwie mogący uratować życie, poczytujemy sobie za zasługę pracę, która dawno uszlachetnia ręce najbogatszych narodów!

Jednocześnie wystawiono na podziw drugi „fakt niebywały.“ Włościance z gminy Brudno lekarz zalecił kuracyę we Franzensbadzie, a chociaż obliczono koszta na 600 rs., mąż jej się zgodził. „*Pierwsza* to chyba kuracyuszka ze stanu kmiecego u wód zagranicznych“ — dodaje jedna z gazet. Historya nie pamięta, odkąd nasza szlachta leczy się i bawi u wód zagranicznych; oddawna już naśladuje ją mieszczaństwo; średniej zamożności Icki i Ruchle nie żałują sobie na Karlsbad lub Szczawnicę, a pierwsza włościanka polska dopiero w r. 1885 wyjechała do wód obcych. Czy to również nie ciekawy przyczynek do charakterystyki naszego społeczeństwa i jego organów, które jednocześnie zadziwiają czytelników dwiema nowinami, że szlachcianka siedzi w sklepie przy ulicy Jerozolimskiej a chłopka jedzi do Franzensbadu.

Wzmocniona pobożność kilku pism w ukłonach i grzecznościach dla szlachty tłomaczy się należycie nadchodzącą wystawą rolniczą; jak dalece zaś galop w tym kierunku jest wytężony, świadczy jazda jednego z dojeżdżaczów, który wykrzyknął: „Czyż *nie słusznie* nazywają (!!) właścicieli ziemskich *białymi murzynami*?“ Widocznie był to zbyt forsowny skok przez rów logiczny, bo aż *Gazeta rolnicza* — której w tabliczce mnożenia dwa razy dwa wypada: szlachcie biedny — uznała za stosowne go pohamować. Bądźmy wszakże przygotowani na wyścigi współczucia organów „większej własności“ dla „białych murzynów.“ Nagroda — w prenumeracie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wystawa radomska. — Przemysł domowy. — Gwoździarze. — Wygnańcy. — Skargi. — Radykalny środek. — O kogo dbamy.

Wystawa radomska zapowiada się bardzo pomyślnie. Jakkolwiek nie przywią-

zuję wielkiej wagi do tego rodzaju popisów, do których produkcya nasza staje w odświętnej szacie, nie dającej bynajmniej pojęcia o powszednich warunkach jej istnienia, cieszy mnie wszakże powodzenie radomian. Bo jeżeli w Warszawie każda wystawa jest mniej lub więcej poważnie urządzoną reklamą, na prowincyi oznacza ona pewne ożywienie, pewne zainteresowanie się sprawami ekonomicznemi. Radomska powinna dać w rezultacie niezupełne może, ale za to naoczne wyobrażenie o zasobach naturalnych, o rozwoju rolnictwa i przemysłu w gubernii, kiedy corocznie powtarzająca się wystawa warszawska daje nam tylko urozmaiconą w szczegółach kopię tego, cośmy już przed rokiem lub dwoma laty widzieli. Przyciągnie tylko ona ten liczny w każdem wielkiem mieście kontyngens gapiów, którzy z równym zapałem uczęszczają do ogrodu zoologicznego, lub na wystawę i mniej liczny, ale także żądny każdej hecy zastęp reporterów, którzy z równym zapałem pisać będą o pawianie, Pospiszylównie, Chronegku lub trykach. W Radomiu zaś gdyby wystawa nawet nie przyniosła żadnych pozytywnych rezultatów, już to będzie jej zasługą, że zgromadziła grono ludzi, nie w imię preferansa lub wista, że poruszyła drzemiącą myśl inteligencyi bądź co bądź poważniejszą sprawą, aniżeli—wielki szlem, jaki dał p. radca. Zasługa tego ożywienia należy się całkowicie redakcyi *Gazety radomskiej* (która zmieniła się korzystnie i dzisiaj przoduje innym pismom prowincyonalnym). Komitet powziął bardzo szczęśliwą myśl przyciągnięcia jak największej liczby włościan, i szeroko uwzględnić zamierzył dział przemysłu domowego. Nada to wystawie więcej specyalny charakter.

O stanie naszego przemysłu domowego mamy bardzo niedokładne wiadomości. Towarzystwo odnośne chciało zaradzić temu brakowi i rozesłało nawet kwestyonaryusz ułożony, co prawda, bardzo licho. Ponieważ pp. wielkich przemysłowców wytwórczość drobna obchodzi o tyle, o ile staje w poprzek ich interesom, ono zaś głównie zajmuje się skrzętnem wyszukiwaniem przedmiotów nieoclonych jeszcze i podawaniem petycyj o przyspieszenie tej pożądanej czynności—wątpię bardzo, czy zbierze odpowiednie wiadomości. Więcej mam zaufania do komitetu wystawy radomskiej, tem bardziej, że w tamtych właśnie okolicach przemysł domowy posiadał najwięcej warunków rozwoju.

Winienem tu sprostować błędne rozumienie wyrazu, które często nawet spotkać można i w prasie. Rozwój przemysłu domowego nie oznacza bynajmniej osiadania rzemieślników po wsiach i tworzenia specyalnych kolonij szewców, krawców itd. Drobny rzemieślnik który pracuje na własnym warsztacie, nie wytrzymuje współzawodnictwa z przemysłem wielkim, fabrycznym, opartym na podziale pracy. Walczyć z nim wszakże może rolnik, który tylko w czasie wolnym od pracy, w zimie najczęściej, zajmuje się jakiemkolwiek rzemiosłem, ponieważ może ograniczyć się bardzo małem wynagrodzeniem za robotę, której w danych okolicznościach za lepszą cenę nie znajduje. Chłop, który zimą zarabia w dworze 15 lub 20 kopiejek dziennie, otrzyma to samo, zająwszy się rzemiosłem, ma zaś tę wygodę, że pracuje w domu, w cieple i w każdej chwili zajrzeć może do własnego gospodarstwa. Ale rzemieślnik, który zapracować musi na całkowite utrzymanie—prędzej da sobie radę w wielkiem mieście, gdzie o robotę łatwiej, a wyższa cena pracy pokrywa większe koszta utrzymania.

W powiecie Końskim, gubernii radomskiej, istnieje przemysł gwoździarski. Mieszkańcy trzech gmin wyrabiają najrozmaitsze gatunki gwoździ; ogółem zaś znajduje się 136 warsztatów, przy których pracuje 250 osób. Wartość wyrobu dochodzi do 60,000 rs. rocznie. Obecnie jednak przemysł upada i położenie gwoździarzy pogarsza się, gdyż są to ludzie biedni, nieposiadający własnego kapitału na zakup materyałów surowych. Żelaza więc dostarczają im na kredyt żydzi, którzy pobierają za tę usługę procenty lichwiarskie, i oprócz tego nabywają wyrób po cenach, jakie sami dowolnie ustanawiają. W danym wypadku kilka tysięcy rubli kredytu mogłoby biedaków tych postawić na nogi; gdyby kasy gminne prowadzone były porządniej, gwoździarze znaleźli by w nich pomoc. Ale ponieważ o tem nie ma co marzyć, a na wytworzenie własnej kasy są za ubodzy, muszą więc zgodzić się z losem i powoli dążyć do ostatecznej ruiny.

Musieli zgodzić się również z losem ci biedacy, których rozporządzenie rządu pruskiego zmusiło do opuszczenia granic państwa niemieckiego. Powrócili więc do „kraju ojczystego.“ Do Włocławka przybyły pierwsze forpoczty wygnańców. Wielu oddawna osiadłych zagranicą którzy stracili prawo poddaństwa rosyjskiego, władze miejscowe nie przyjęły. Winić ich za to nie można, owszem należy być raczej wdzięcznym za tę względność, bo jak wiadomo prawo surowo karze takich zbiegów. *Gazeta warszawska* donosi, że mieszkańcy Włocławka zamyślają urządzić loteryę na korzyść tych nieszczęśliwych, którzy pozostali w większości bez żadnych środków do życia. Jest to objaw współczucia, chociaż inne pismo wyraża jednocześnie obawę z powodu takiego napływu proletaryatu. Oburzenie z biegiem czasu przechodzi w obawę, a we żniwa cieszyć się może będziemy z obniżenia cen robocizny. Na wyżyny coraz trudniej nam się wydostać, ale w błoto zjeżdżamy zawsze szybko.

Tymczasem zaś pocieszać się możemy, że wiedza nasza dzięki sojuszowi z wiarą nie straciła jeszcze mocy czynienia cudów i potrafi wbrew prawom fizyki w pewnej ograniczonej, ze wszech stron zamkniętej przestrzeni pomieścić tylu ludzi, ilu ich w zwyczajnych warunkach pomieścić się nie zdoła. Kiedy zaś przyjadą inni, jakby to delikatnie powiedzieć... no—meiningerzy, zgodnie z radą p. Prusa starajmy się również korzystać z ich pobytu. Przecie najpierwszą naszą potrzebą społeczną jest „realizm artystyczny,“ studyujmy go więc, jeśli sposobność się zdarza.

Kiedy przyjdzie nowa drużyna... meiningerów, myślicie może że nie będziemy znowu napełniali teatru po brzegi? Mylicie się—a zresztą, dlaczego nie mielibyśmy chodzić? W rezultacie przecie ostatecznym „sztuka nasza skorzysta.“ A że tam ci biedacy, wygnani z Prus nie dospią i przegłodzą się trochę, to znowu przecie własność większa pozyska taniego robotnika.

J. Nieborski.

Pułtusk. Przy szkole elementarnej utworzoną została kosztem zbiorowym biblioteka złożona z kilkuset tomów.

Żytomierz. Pewien mieszkaniec Kijowa odbył podróż z tego miasta do Żytomierza na welocypedzie. Włościanie, których spotykał, brali go za dyabła i w jednej wsi chcieli nawet poturbować „nieczystego,“ dopiero kiedy napił się do nich wódki, uznali, że to jest człowiek. Widocznie więc sądzą oni, że dyabeł należy do towarzystwa wstrzemięźliwości.

Lublin. P. Księżopolski wygłosił odczyt „o kredycie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 maja.

Rokowania w sprawie afgańskiej idą zwykłą koleją i chociaż zapewne nie prędko skończą się, przestały już budzić żywsze zajęcie. Możliwe są jeszcze chwilowe nieporozumienia, wywołane nowemi żądaniami Rosyi, ale już nie podlega wątpliwości, że w końcu Anglia ustąpi. Wojska wycofane z Sudanu otrzymały rozkaz pozostania w Aleksandryi, aż do czasu końca sporu — tak przynajmniej głosi półurzędowe objaśnienie, ale prawdopodobniejszem jest, że Anglia pragnie je zatrzymać w Egipcie, aż do chwili uregulowania ostatecznego miejscowych stosunków. Komisya międzynarodowa zasiadająca w Paryżu wypracowała już projekt neutralizacyi kanału, na który Anglia zgodzić się niechce, inne zaś państwa nie przystają znowu na proponowane przez nią zmiany.

W Kanadzie dowódca powstańców Riel dobrowolnie oddał się w ręce anglików. Inni towarzysze jego gotowi złożyć broń, ale pod pewnymi warunkami, jakich im zapewne Anglia zuwagi na niepewne swoje położenie nie odmówi.

Z Sudanu — jak już nadmieniliśmy — wojska angielskie wycofały się prawie zupełnie. Rząd brytański proponuje zajęcie Suakimu i Kassali, dwóch niezmiernie ważnych punktów — włochom, ale ci, chętni do podziału zdobytego już łupu, wzdragają się teraz, kiedy cały ciężar walki spaść może na ich barki, tembardziej, że Abisynia krzywo patrzy na nowych sąsiadów i wystawiła nawet korpus obserwacyjny w pobliżu miejscowości zajętych przez wojska włoskie.

Zwolniony z kłopotów zewnętrznych Gladstone ma na odmianę nieprzyjemność w domu. Trzej ministrowie należący do partyi radykalnej: Dilke, Chamberlain i Lefevre niechcą zatwierdzić bilu o przedłużeniu praw wyjątkowych w Irlandyi i grożą opuszczeniem gabinetu, który bez poparcia radykalistów nie utrzymałby się przez jeden dzień nawet.

Senat francuski zatwierdził ustawę wyborczą z tą jednakże poprawką, że z liczby ludności każdego departamentu wyłączyć należy cudzoziemców i dopiero z pozostałych na każde 70.000 wybierać jednego posła. W ten sposób wielkie miasta, a szczególniej Paryż miałyby mniejszą aniżeli dzisiaj liczbę deputowanych. Druga poprawka pozbawia książąt, którzy pochodzą z rodzin panujących kiedyś we Francyi, prawa do mandatu.

W rocznicę upadku Komuny anarchiści urządzili demonstracyę na grobach ofiar okrucieństwa wersalczyków, policya wmieszała się w tę sprawę, przyszło więc do bójki, w której nikt nie zginął, ale obie strony mają sporą liczbę ranionych. Utarczki a właściwie bijatyka toczyła się nawet w nocy na niektórych ulicach. W parę dni później odbył się pogrzeb b. członka komuny Courneta, na którym z zezwolenia policyi powiewały sztandary czerwone, nazajutrz znowu zakazano używania tych godeł — słowem mało sensu z jednej i z drugiej strony.

W Hiszpanii na wyborach do rad municypalnych zwyciężyli liberalni, niezadługo więc odbędzie sie zapewne zmiana dekoracyj w kortezach.

W Serbii niesnaski w łonie partyi rządowej (postępowej) doprowadziły do częściowej zmiany gabinetu. Narodowo-liberalni, którzy spodziewali się już tryumfu, spuścili nosy, które wydłużyły się im zapewne bardziej jeszcze, kiedy przywódca ich p. Ristics po powrocie z Petersburga pozbawiony został pobieranej dotychczas od rządu pensyi.

Paryż. Pogrzeb Wiktora Hugo odbędzie się w poniedziałek.

Wiedeń. W okręgach wyborczych stolicy zwyciężyli centraliści, również w Kuryi mniejszej posiadłości w dolnej Austryi.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija Wiedomosti napisały swój program polityki wewnętrznej:

1. „Jest do życzenia, aby władza państwowa wszędzie została przywróconą, iżby panowała nad wszelkimi kierunkami życia narodowego.

2. Aby nasze sądy znajdowały się w zupełnej zależności od korony, aby były przed nią odpowiedzialne i nie ważyły się rozstrzygać spraw w sposób jawnie gorszący sumienie narodowe.

3. Aby przywrócone zostały w całej swej świętości prawa rodzicielskie.

4. Aby zakreśloną została granica podatkom miejskim i ziemskim, zwłaszcza tym ostatnim, jako utrudniającym produkcyę.

5. Aby kwestya robotnicza została rozstrzygniętą w jak najszybszym czasie.

6. Aby przedsięwzięto wszelkie środki w celu utrzymania ziemi w rękach szlacheckich, czyniąc szlachcie w tym celu różne ulgi gospodarcze.

7. Aby przywrócone zostały władza, odpowiedzialność i dozór nad pracą wśród ludności wiejskiej.

8. Aby stanowi szlacheckiemu, jako doświadczonemu w poświęceniu dla tronu i ojczyzny, nadane zostały większe prerogatywy w służbie publicznej.

9. Aby szkoła ludowa oparta została na tych samych zasadach, co szkoły „cerkiewno-parafialne.“

10. Aby sprawa picia napojów mocnych została bezwarunkowo rozstrzygniętą, gdyż jest to sprawa dobrobytu i nędzy, narodu rosyjskiego.“

Wyjaśnienie. W sprawie nabywania dóbr ziemskich *Nowoje Wremia* powiada:

„Z powodu wątpliwości wynikłych w pewnym wypadku nastąpiło we właściwej drodze wyjaśnienie, że nadal tracą moc prawną upoważnienia na nabywanie dóbr nietylko wydane osobom pochodzenia polskiego, które się postarały o wyłączenie ich z pod skutków ukazu 10 (22) grudnia 1865 r., lecz i wydane wszelkim wogóle osobistościom nierosyjskiego pochodzenia. Zatem nowe rozporządzenie rozciągnięte będzie w kraju południowo-zachodnim na wszelkich cudzoziemców, nawet takich, którzy przyjęli poddaństwo rosyjskie, na kolonistów niemieckich i czeskich, oraz na wychodźców z kraju nadwiślańskiego (niemieckiego pochodzenia, jak wyjaśniono wyraźnie). Wyjątek stanowią tylko czynszownicy, którzy lubo są pochodzenia polskiego, mogą nabywać na własność swoje działki, zostające w ich posiadaniu na prawie czynszowem.“

Jużnyj Kraj przytacza szczegóły wypadku, o którym pisaliśmy już na podstawie telegramu.

„W dniu 14 maja na przedmieściu Rubanowskiem, na ulicy Eleońskiej, policya odbywała kontrolę mieszkańców. Przybywszy o 9-ej rano do domu pod nr. 8, dowiedziała się od gospodyni domu, że w jednym z małych pokoików w jej domu przemieszkuje dwóch młodych ludzi, z których jeden od wczoraj nie wrócił. Okoliczność ta skłoniła dozorcę Sizowa do rozpatrzenia księgi mieszkańców, poczem zażądał, aby gospodyni zawezwała pozostałego w pokoju lokatora, albowiem ma uczynić mu kilka zapytań co do jego towarzysza. Ów pozostały lokator, jak się później pokazało, mieszkał za świadectwem, wydanem na imię Platona, syna Włodzimierza Lebedyńskiego, przez policyę miasta Rostowa nad Donem. Wezwany, aby wyszedł z pokoju, Lebedyńskij zwlekał i dopiero na skutek ponownego nalegania wyszedł do sieni, ale tylko w bieliźnie. Pewne pomieszanie, okazane przezeń przy tem badaniu, obudziło w dozorcy podejrzenie, tak iż wszedł do pokoju z Bułhakowem i towarzyszami. Lebedyńskij, który wszedł pierwszy, szybko zbliżył się do otwartego okna, co zauważywszy obecni, podeszli i powiedzieli mu, aby się ubrał. W tej samej chwili wszedł do pokoju dozorca rewirowy Fesenko i siadł na krześle z zamiarem spisania protokółu z objaśnień Lebedyńskiego. Wtedy ten ostatni, zbliżywszy się do łóżka, wyciągnął nagle z pod poduszki rewolwer i strzelił do Fesenki, który chciał się rzucić na niego, ale został zabity na miejscu drugim wystrzałem. Wówczas dozorca Sizow z krzykiem wybiegł, wołając o pomoc, a Lebedyńskij dał jeszcze trzeci strzał do żandarma Bułhakowa i zranił go w rękę na wylot. Mimo to Bułhakow schwycił w swe objęcia zabójcę i już go nie puścił, aż nadbiegł Sizow z dwoma indywiduami; ci rozbroili i związali Lebedyńskiego. Odbyta później rewizya wykryła przyrządy drukarskie, materyały wybuchowe i rewolwery. Lebedyńskij został odesłany do więzienia.“

Petersburskija Wiedomosti w sprawie zamiany Banku polskiego zapytują, jakiego systemu trzymać się będą przyszli kierownicy instytucyi bankowej w Warszawie.

„Idzie o to, że pomiędzy systemem, przyjętym przez Bank polski, i zasadą, jaką się rządzi Bank państwa, istnieje ogromna różnica. Polski Bank zawsze uważał za swoje główne zadanie popieranie kredytem państwowym miejscowego przemysłu kopalnego i wytwórczego, kiedy tymczasem Bank państwa przenosi swoją działalność prawie wyłącznie na pole potrzeb giełdy wartościowej.“

Wykazawszy w szczegółach znaczne różnice w działalności obu instytucyj, gazeta petersburska tak kończy:

„Zlanie Banku polskiego z państwowym dla narodowego przemysłu i narodowej pracy wydaje się pożądanem tylko w tym razie, jeżeli nie zostanie zaniechaną pożyteczna działalność pierwszej i najstarszej z naszych państwowych instytucyj krótkoterminowego kredytu, jeżeli Bank polski nie zarazi się od Banku państwa namiętnością do spekulacyi giełdowej i jeżeli wszystkim jego filiom pozostawioną będzie możność, jak się to dotychczas praktykowało, dopomagania kredytem państwowym miejscowym siłom produkcyjnym. Jeszcze bardziej, rozumie się, pożądanem byłoby, aby Bank państwa wszedł na drogę otrzeźwienia, aby stanowczo przejął się systemem Banku polskiego, który tak wiele dokonał dla przemysłu krajowego, dzięki dawnej i umiejętnej troskliwości centralnej władzy państwowej i miejscowych działaczów o jego materyalny dobrobyt.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwa rolnicze. Zatwierdzona została ustawa normalna towarzystw rolniczych, obecnie więc zawiązywanie ich nie powinno spotykać poważnych przeszkód. Pozwolenia wydawać będą gubernatorzy. Program zajęć zawiera: urządzanie zebrań w celu dyskusyi nad przedmiotami należącymi do rolnictwa, szerzenie wiadomości naukowych przez szkoły, urządzenie wystaw i odczytów i dopomaganie rolnikom w sprawach dotyczących gospodarstwa.

Zjazd prawników polskich, który miał odbyć się we wrześniu we Lwowie, odroczono na rok *dla braku zgłaszających się* z chęcią wzięcia w nim udziału.

Kocioł przygania garnkowi. Znany p. Molczanow złapał się; pomieścił on w *Nowem Wrem.* korespondencyę z Nikołajewa, w której opisuje bulwar miejski leżący niby przy ujściu Ingułu do Dniepru zamiast do Bohu. Korespondent *Wieku* dowcipnie żartuje z tego, ale łapie się sam, bo każe Ingułowi wpadać do Dniepru pod Chersonem.

Omyłka. *Kuryer codzienny*, wyliczając kandydatów do Akademii na miejsce po Wiktorze Hugo, wymienia hrabiego de Lisle, ma to być zapewne znany poeta Lecomte de Lisle.

Zapis. Zmarły w Odesie ziomek nasz Klimowski przeznaczył w testamencie 170,000 rs. na cele dobroczynne, z tych 39,000 rs. dla szpitala Dzieciątka Jezus i 37,400 rs. na stypendya przy uniwersytecie krakowskim.

Kobiety dopuszczane będą do słuchania kursów farmaceutycznych i otrzymają prawo otwierania aptek na własną rękę.

Biblioteka Załuskich, wywieziona niegdyś do Petersburga i wcielona do biblioteki publicznej, zawiera, jak się okazuje teraz, 389,061 książek i rękopisów, oraz 40,618 rycin.

Artykuł wstępny, wierszem napisany przez Tennysona i dowodzący konieczności wzmocnienia floty angielskiej, zamieścił *Times.* Wiersz lichy—ale nowość podobała się bardzo.

Prasa. *Petersburskija Wiedomosti* donoszą, że w Warszawie wychodzić będzie dziennik w języku rosyjskim p. t. *Granica.* Z podaniem o koncesyę wystąpił literat rosyjski zamieszkały w Warszawie.

Bibliografia. Dr. Ludwik Grossé. *Stosunki Polski z Soborem Bazylejskim,* Warszawa.

— Henryk Struve. *Aleksander Lesser, jego rozwój artystyczny i stanowisko w historyi malarstwa polskiego,* Warszawa.

— *O polsce* napisał generał-feldmarszałek Moltke przekład z niemieckiego, Lipsk.

— Dr. Witold Jaroszyński, *Meran i Arco.*

Literatura czeska. J. Vrchlicki napisał poemat p. t. *Twardowski.* Prokuratorya skonfiskowała cały nakład.

Pismo łacińskie. W Niemczech świeżo zawiązały się dwa stowarzyszenia w celu propagandy pisma łacińskiego. Nic z tego jednak nie będzie, ponieważ Bismark przeciwny jest całej tej sprawie.

Pomnikowego dzieła, wychodzącego pod protektoratem arcyks. austr. Rudolfa p. t. *Oesterreich-Ungarn in Wort und Bild,* zeszyt pierwszy w tym roku już opuści prasę. Nad drzeworytami pracuje w zakładzie prof. Hechta we Wiedniu, 12 najlepszych wybranych w drodze konkursu, a druk wykonany będzie maszyną umyślnie w tym celu sprowadzoną z Ameryki. Pierwotnie miano odbijać dzieło czcionkami łacińskiemi, w końcu jednak zgodzono się na gotyckie. Wydawnictwo ma trwać 10 lat, a na koszta dał cesarz austr. ze swej prywatnej szkatuły 600,000 zlr.

Odkrycie archeologiczne. W Augustowskiem znaleziono głęboko w ziemi kamienne posągi bożków. Zabytek ten nie został dotychczas zbadany przez znawców.

Kronika przejechań. Liczba przejechań wzrasta corocznie i w ciągu 1881 r. było wypadków tego rodzaju 397, w 1884 już 600, w pierwszych trzech miesiącach r. b. 152.

Sieć telegrafów pokrywających powierzchnię ziemi, według dziennika *L'Electricien,* w długości drutów wynosi około 2,000,000 kilometrów, jest więc pięć razy większa od najbliższej odległości księżyca od ziemi.

Statystyka. W 1884 r. wydano w Niemczech 15,607 książek, o tysiąc więcej niż w roku poprzednim.

— Gubernia mińska na przestrzeni 78,500 wiorst kw. liczyła w 1884 r. 1,591,767. Zaludnienie przedstawia wielkie różnice, w powiecie nowogrodzkim np. wypada 48,7 mieszkańców na wiorstę kw., w mozyrskim zaś 8,3. W Mińsku w 1883 r. liczono 45,000 m. (faktycznie znacznie więcej).

— Ludność miast w gubernii lubelskiej wynosi 105,000 osób, najwięcej liczy Lublin, bo 38,816 mieszkańców, dalej Hrubieszów 8,444, Biełgoraj 8,345 itd.

Zmarli. Alfons Neuville sławny malarz—batalista francuski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Tod. Sk. 1) Przekład Paszkowskiego; 2) cała biblioteka rozpraw i dzieł niemieckich Bernayse, Hettnera, Vischera, Schleglów itd.; 3) H. Taine w *Hist. lit. angielsk.*; 4) Odczyt Spasowicza zamieszczony w *Ateneum* z r. 1882.

Ogłoszenia

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Мая 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski